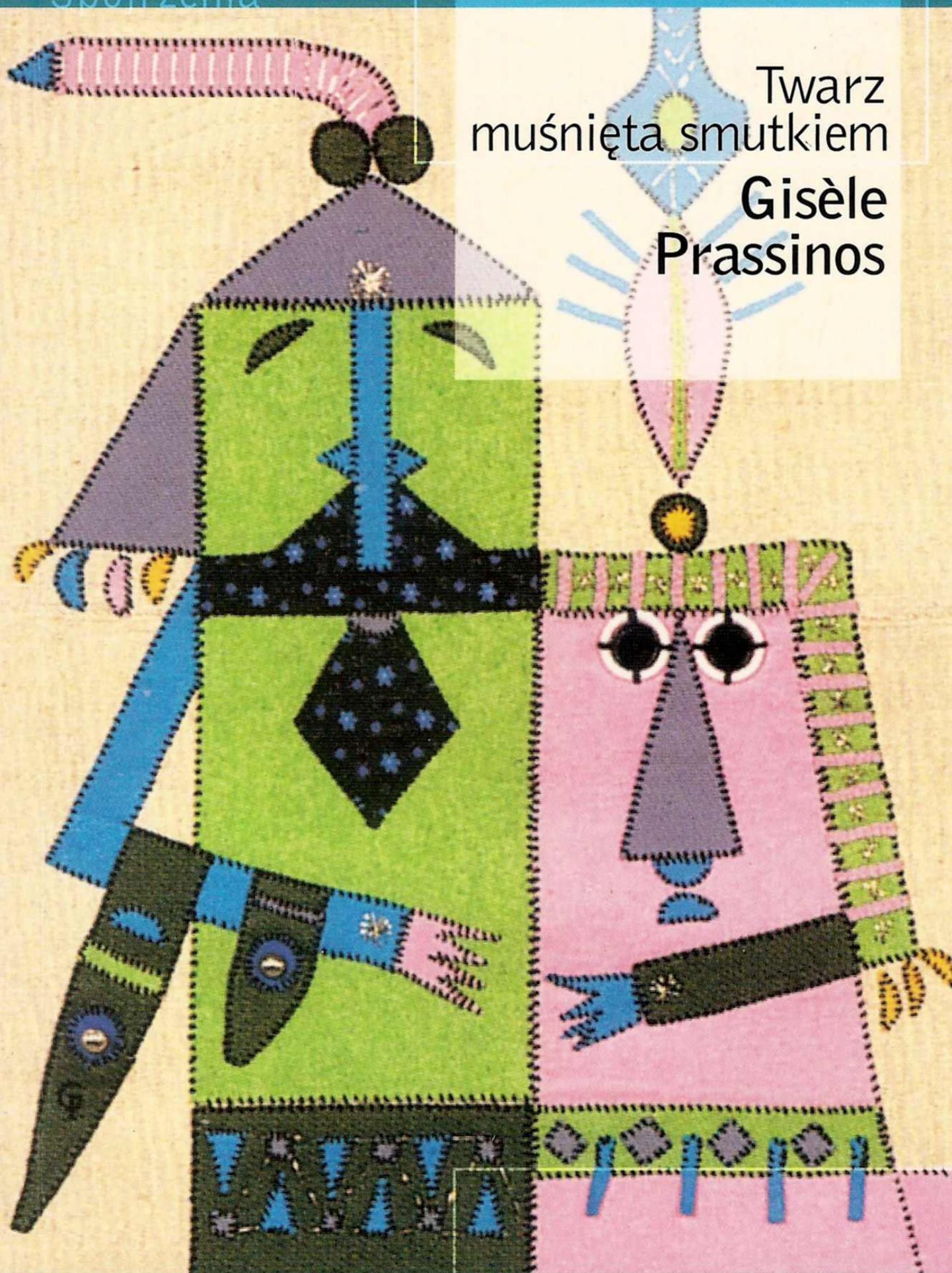


Twarz
muśnięta smutkiem
Gisèle
Prassinos



Państwowy Instytut Wydawniczy

Twarz muśnięta smutkiem Gisèle Prassinós

Przełożyła
Agnieszka Taborska



Państwowy Instytut Wydawniczy
Warszawa

Wszystko to brzmi jak bajka...

„Styl Gisèle Prassinos nie ma sobie równych: wzbudza zazdrość wszystkich poetów. Swift spuszcza oczy, Sade zamyka bombonierkę” - pisał Breton w *Antologii czarnego humoru* (1940). Zamieścił w niej dwa opowiadania Prassinos, którą porównał do „młodziutkiej chimery” Maxa Ernsta, obrazu Dalego *Cesarski pomnik ku czci kobiety-dziecka* oraz zamieszczonego na okładce pisma „La Révolution surréaliste” z października 1927 roku zdjęcia uczennicy w czarnym fartuszk, siedzącej przy pulpicie z podkurczonymi nogami i piórem w dłoni, seksownej i zaszuchanej w wewnętrzny głos muzy zapisu automatycznego. Dwa lata wcześniej w *Skróconym słowniku surrealizmu* poświęcił jej zwięzłe słowa: „«Alicja II». Poetka surrealistyczna”.

W połowie lat trzydziestych, gdy od wydania *Manifestu surrealizmu* minęła dekada i przeżywającemu pierwsze kryzysy ruchowi potrzebne były nowe podniety, wyobraźnię nieco znudzonych poetów ożywił twór w ich szeregach nowy: emanująca niewinnym erotyzmem kobieta-dziecko, uosobienie intuicji i per-wersji. Makijaż, fryzura à la chłopczyca, ręka znaczącym gestem oparta na biodrze oraz widoczne spod podkasanego fartuszka nagie uda i biała koronkowa halka „uczennicy” na okładce pisma świadczą niezawodnie, że nowe zjawisko bardziej było kobietą niż dziewczynką. Jak wcześniej Nadja, pośrednicząc między światem rzeczywistym a podświadomością, dzięki niezwyklej wrażliwości kobieta-dziecko potrafiła pobudzić twórczą energię innych. Wcielała w życie postulat *Manifestu* powrotu do dzieciństwa, symbolizowała dziecięcą ciekawość, głód przygód, wzgardę dla konwencji. Jej pierwowzór pojawił się w literaturze wcześniej. Już Lautréamont marzył, by czytały go czternastolatki. W *Anatomii obrazu* Hans Bellmer fantazjował o wdzięcznej czternastolatce, „która osiągnąwszy dojrzałość płciową, urosła nagle piętnaście centymetrów, zaś pierwszym jej miesiączkom towarzyszyły objawy hysterii”. W wierszu z 1932 roku *Nieprzytomny* Breton opisał nasyconie zmysłową atmosferą spotkanie z czternastoletnią dziewczynką. Rok później Picasso, Magritte, Ernst, Tanguy, Dali, Char, Eluard, Breton i Péret wystąpili w obronie kilkunastoletniej Violette Nozières, skazanej na śmierć za otrucie rodziców. Owa antybohaterka szeroko nagłośnionego we Francji procesu - podczas którego

wyciszono dokonywane przez ojca gwałty - znalazła adwokatów właśnie wśród surrealistów. Stała się dla nich „współczesną Elektra”.

Pierwsze genialne kobiety-dzieci, uprawiające prowokacyjną i oryginalną sztukę - Meret Oppenheim, Dora Maar, Gisèle Prassinos i Leonora Carrington - pojawiły się wśród surrealistów w latach trzydziestych. Prassinos z Carrington były jedynymi kobietami uwzględnionymi w *Antologii czarnego humoru* Bretona. Po upływie z górą pół wieku są dziś jej jedynymi żyjącymi i nadal tworzącymi autorami.

Przejmującą wizję kobiety-dziecka przedstawiła Carrington w opowiadaniu *Leć, gołębiu* ze zbioru *Siódmy koń i inne opowiesci*. Młoda artystka maluje w nim portret zmarłej żony ekscentrycznego wdowca. W sypialni nieboszczki znajduje jej pamiątnik z opisem rozmowy między małżonkami („Zawsze będziesz dzieckiem” - powiada w niej pan domu) oraz dziwnego uczucia, iż z każdym dniem jej ciało staje się coraz bardziej przezroczyście. Po zakończeniu lektury, niczym w horrorze Poe’go czy Lovecrafta, portret blaknie, a rysy malarki zmieniają się w twarz zmarłej. Pozbawione oblicz kolejne muzy, ubóstwiane, po czym wymieniane na młodsze i piękniejsze - tak pięćdziesiąt lat później widziała Leonora Carrington swój związek z Ernstem...

Prassinos stanowiła wcielenie kobiety-dziecka tym idealniejsze, że była poetką, a w poezji surrealiści ujrzeli najwyższą formę sztuki. Zaistnienie wśród starszych o dwadzieścia lat mężczyzn zawdzięczała postaci szlachetnej, bezinteresownej i gotowej w imię dobra literatury ponosić wielkie wyrzeczenia - Henri Parisotowi. Wydawca oraz tłumacz Kafki, Samuela Coleridge’a i Lewisa Carrolla (Prassinos zilustrowała jego przekład *Polowania na Snarkę*), via René Char związany z surrealistami (z których grupy został później, jak tylu innych, wykluczony), Parisot wprowadził w ich grono młodego malarza Mario Prassinos. W 1934 roku pokazał areopagowi Bretona utwory jego czternastoletniej siostry. Choć wątek narracyjny gra w nich rolę znacznie większą niż w pierwowzorze automatyzmu, *Polach magnetycznych* Soupaulta i Bretona, surrealiści dostrzegli w nich dowód na istnienie podświadomości. W liście do Maria z września 1934 roku Parisot entuzjastycznie donosił:

„Lektura wierszy twojej siostry była dla surrealistów jak grom z jasnego nieba. Nie potrafię opisać wybuchu ich entuzjazmu i podziwu! Krótko mówiąc, są zdania, że należy wydać je jak najszybciej (oczywiście z waszą zgodą).

René Char (a także Tzara, Eluard i większość surrealistów) sądzą, że lepiej siostrze nie mówić, jak znakomite rzeczy pisze, by nie sprowokować jej do artystycznych eksperymentów, mogących zaszkodzić nadzwyczajnemu, wrodzonemu talentowi.

Z kolei Breton uważa, że należałoby poddać ją stałej obserwacji w celu upewnienia się co do autentyczności dzieł. Dopóki nie przedstawimy mu dowodów, nie chce wierzyć, by czternasto- czy piętnastoletnie dziecko mogło pisać takie rzeczy (stawia je na równi z utworami Rimbauda, jeśli nie wyżej!)”.

Przez cztery lata Parisot nie ustawał w zachęcaniu Gisèle Prassinos do pisania. W niemal co dzień wysyłanych listach upominał się o nowe teksty, narzekał na wolne tempo pracy, przestrzegał, by młoda sława nie osiadła na laurach, dając tym pożywkę krytykom, widzącym w niej jedynie „psychopatologiczny fenomen”. Stale namawiał do rysowania, doprowadził do druku jej pierwszych utworów oraz rysunków (w jednym z listów informował, że na ścianie swego gabinetu zastąpił nimi Maxa Jacoba i, nieautentycznego co prawda, de Chirica!).

W 1935 roku za sprawą Parisota wyszedł pierwszy zbiorek opowiadań Gisèle, *Artretyczny pasikonik*. „Przesyłam twojej siostrze dwa listy, które dostarczył mi dziś Levis Mano [wydawca -przyp. A.T.] i które wyszły spod piór jej wielbicieli! Zastanawiam się, co to dziecko zrobi, widząc, jak ona i jej utwory coraz się stają sławniejsze! Jak można się było spodziewać, od momentu ukazania się książki krążą na jej temat najbardziej nieprawdopodobne pogłoski. Nikt nie chce wierzyć, że tak wspaniałe (i tak wspaniałe napisane) utwory są dziełem dziecka!”. Nawet niestały w uczuciach papież surrealizmu pozostał wierny pierwszej fascynacji. W grudniu 1936 roku Parisot pisał do Maria: „Breton wyznał mi niedawno, że woli Gisèle, **i to zdecydowanie**, od Valentine Penrose, Louise de Vilmorin i pozostałych surrealistycznych poetek...”.

Na odbywającej się w Paryżu w 1937 roku Międzynarodowej wystawie surrealizmu opowiadania jej czytali aktorzy tak wybitni, jak Jean-Louis Barrault. W ciągu następnych trzech lat ukazało się osiem tomików. Do obiegowych dziejów ruchu Gisèle Prassinos przeszła dzięki głośnemu zdjęciu Mana Raya, na którym czyta surrealistom swoje „automatyczne” opowiadania. Ubrana w szkolną sukienkę z wielkim białym kołnierzykiem zdaje egzamin przed siedzącymi w nieco teatralnych pozach Eluarem i Breto-nem oraz stojącymi Charem, Péretem, Parisotem oraz bratem Mariem.

„Poprosili mnie o przeczytanie na głos jednego z opowiadań. Słuchali w skupieniu, bez słowa, siedząc nieruchomo, wpatrzeni we mnie. Byłam tak przejęta, że drżał mi głos, zachryłam i bałam się, że w połowie zdania głos całkiem mi się załamie. Najzabawniejsze, że gdy dwanaście lat później u wspólnego znajomego spotkałam Paula Eluarda, powiedział mi, że bardzo go wówczas onieśmielałam. (...) Dwa czy trzy razy zabrali mnie na Plac Blanche [miejsce spotkań surrealistów - przyp. A.T.]. Odbywali tam coś na kształt zebrań roboczych. Nic z nich nie rozumiałam. Pamiętam, że Breton wyjął raz szynkę, którą zjadł na naszych oczach prosto z papieru. Wydawał mi się bardzo przystojny, miał w sobie coś z wodza. (...) Nigdy nie usiłowałam być surrealistką, to mnie nie interesowało. Ale po przyjściu ze szkoły kładłam się na dywan i pisałam opowiadania, żeby rozśmieszyć ojca i brata”.

Przyznawała jednak, że *nolens volens* surrealistką była od urodzenia. We wstępie do wydanego w 1976 roku zbiorku *Kto nie szuka, ten znajdzie* - zawierającym między innymi opowiadania i wiersze „automatyczne” z lat 1934-1944 - napisała: „Znajdzie, ale co? Owo miejsce, w którym niewinność zadrży z radości na widok przerażenia, wyzwoli okrucieństwo, obudzi potwory. Miejsce, gdzie istnieją obok siebie i spotykają się bez względu na różnice wewnątrz z zewnątrz, góra z dołem, wczoraj i jutro, życie i śmierć”. Podobną wiarę wyraził niemal tymi samymi słowami Breton w *Drugim manifeście surrealizmu*: „Wszystko przemawia za tym, że istnieje pewien punkt w umyśle, z którego życie i śmierć, rzeczywistość i urojenie, przeszłość i przyszłość, rzeczy możliwe i niemożliwe do przekazania, góra i dół przestają być postrzegane jako przeciwstawne”.

Opowiadania Prassinosa łączy z twórczością surrealistów szereg podobieństw. Główna bohaterka *Dręczonej dziewczynki*, na przykład, panicznie boi się motyla, przywodząc na myśl słynny kolaż Ernsta *Dwójka dzieci zagrożonych przez słowika*. Dziewczęcą podświadomość - taką właśnie, jaka kierowała piórem czternastoletniej Gisèle - Ernst wyobrażał sobie w kolażowej powieści *Sen dziewczynki, która chciała wstąpić do Karmelu*.

Komentując pół wieku później swój literacki debiut, Prassinosa wspominała, że pisanie było dla niej ucieczką przed nudą i że wyrastało z potrzeby imigrantów tworzenia własnego świata. Przede wszystkim zaś, że nigdy nie było „automatyczne”: „Pierwsze dwa zdania płyną bez wątpienia z podświadomości, lecz przygotowują teren i tworzą atmosferę, upominając się o historię, która bywa szalona, ale zawsze jest przemyślana. Breton uważał,

że wszystko co piszę, wyrasta z podświadomości. Podobała mu się ta zabawa i w każdym zdaniu wynajdywał erotyczno-fantastyczne podteksty. (...) Bezwiednie stałam się ilustracją teorii surrealistów. Sami byli zbyt odcytani i inteligentni, by pisać tak jak ja. Choć próbowali”. W 1987 roku sześćdziesięciosiedmioletnia pisarka tak odpowiedziała na pytanie, jakie wrażenie wywarł na niej widok własnego nazwiska w wydawanym przez Bataille'a głośnym piśmie „Minotaure”:

„Żadne. Byłam bardzo skromna i pozbawiona ambicji. W rodzinach pochodzących z Bliskiego Wschodu, takich jak moja, ojciec zapewnia edukację synowi, a córka siedzi w kuchni z kobietami. Chciałam czymś ojca zaskoczyć. Zaśmiewał się, czytając moje dziwaczne historie. Było to dla mnie pociechą. Wiedziałam, że istnieje”.

Urodzona w 1920 roku w rodzinie greckiej w Istambule, od 1922 roku w Paryżu, dokąd rodzina jej wyemigrowała podczas grecko-tureckiej wojny, Gisèle zawsze była pod silnym wpływem ojca, profesora francuskiej literatury, oraz brata malarza. Opowiadanie *Venda i pasożyt* ze zbioru *Kto nie szuka, ten znajdzie* jest feministyczną parafrazą *Warkocza z Kwiatów zła*. Tytułowa bohaterka od najmłodszych lat cierpi przez stałą obecność na jej głowie robaczka świętojańskiego, stopniowo wyjadającego mózg. Okrutny podarunek od ojca „zdobi” ją, błyszcząc nocą, pozbawia szarych komórek i odstręcza chłopców. Posłuszna rodzicielskiej woli, Venda nie pozbywa się jednak pasożyta, lecz umiera, postradawszy wpierw zmysły. Świętojański robaczek czym prędzej zżera ciało. To jedna z licznych opowieści Prassinosa o autorytatywnym ojcu, biernej matce (w *Opisie ślubu* ojciec panny młodej zjawia się z żoną przypiętą do kamizelki) i skrzywdzonej córce. W tytułowym opowiadaniu *Kto nie szuka, ten znajdzie* matka dziewczynki o zbyt męskim głosie bez wahania czyni ją niemową, oddając głos córki mówiącemu dyszkantem mężczyźnie.

W kontekście tej opowiadki nowej wymowy nabiera kilkunastoletnie milczenie Prassinosa, która po młodzieńczym sukcesie wycofała się z życia literackiego; pracowała jako stenografistka, wychowawczyni w przedszkolu, sekretarka w galerii i autorka horoskopów. Na nowo publikować zaczęła w 1958 roku. Od śmierci męża w 1988 prawie nie pisze, za to - zafascynowana Dalim oraz artystami afrykańskimi, religijnymi i nieprofesjonalnymi - uprawia sztuki plastyczne. Drewniane rzeźby-totemy i poświęcone głównie mitologiczno-biblijnym tematom pseudonaiwne makatki (które uważa za rzemiosło, nie sztukę) tworzy od połowy lat sześćdziesiątych. W rysunkach,

deformując ciała ludzi, zwierząt i fantastycznych stworzeń, każe swym bohaterom uczestniczyć w czynnościach dalekich od zasad *savoir-vivre'u*.

Kompleks ojca i brata nigdy jej chyba nie opuścił, skoro makatkę z 1985 roku, przedstawiającą Salome z głową Jana Chrzciciela, tak freudowsko opisała: „Zabójczynią jest dziewczynka, która nie może nadziwić się własnej zbrodni i którą to, co trzyma w ręku, brzydzi. W taki oto sposób zabiłam brata, który na imię miał - to będzie niespodzianka! - Jean-Mario”.

Innemu ważnemu w swoim życiu mężczyźnie poświęciła powieść *Twarz muśnięta smutkiem*. Pomysł postaci obojętnego na wszystko poza własną pracą głównego bohatera zrodził się ponoć w trakcie wieczoru poślubnego, który mąż pisarki spędził na lekturze prasy. Gisèle Prassinos „dzieckiem” pozostała długo, nawet po ślubie mieszkając co prawda z mężem, ale i z ukochaną ciotką, z którą nie rozstała się aż do jej śmierci. Rozdarta między terażniejszością a przeszłością, „dorosłą” twórczość w znacznym stopniu osnuła wokół mitycznego tematu dzieciństwa. Z pozycji wiecznej kobiety-dziecka przeprowadziła błyskotliwą analizę tego stanu.

Twarz muśnięta smutkiem, czwarta jej powieść, ukazała się w 1964 roku, dwa lata przed śmiercią Bretona, czyli w epoce, gdy zdawało się, iż surrealizm nieodwracalnie trafił na zakurzone półki bibliotek. Powstała w ciągu trzech tygodni jako rezultat zakładu autorki z bratem i przyjacielem, że napisze książkę niecodzienną. Udało się jej to. Krytycy - entuzjastyczni wobec poprzednich powieści - nabrali wody w usta. Purnonsensowy humor, parakryminalna intryga, ekscentryczni bohaterowie, szufladkowa struktura narracji, zaskakujące zwroty biegu wydarzeń, barwność i magia opowieści spowodowały jednak zasłużone wznowienia w 2000 i 2004 roku. Główna bohaterka, Essentielle - której imię niedwuznacznie sugeruje szukanie sedna, czyli siebie, co stanowi przewodnią nić jej pełnych przypadkowych spotkań i nieprawdopodobnych przygód podróży - wiele ma wspólnego z autorką epoki literackiego debiutu. Wspomnienia Prassinos z owych czasów przywodzą na myśl żonę eksuczonego: „Wciąż byłam uśpioną dziewczynką, nie za bardzo ciekawą świata, ale miałam bardzo zręczne ręce”.

W *Śnie* z 1947 roku - jedynym opowiadaniu opublikowanym podczas wieloletniego milczenia - główna bohaterka, także o imieniu Essentielle, obudziwszy się po długiej nieobecności w rodzinnym domu, znajduje dziwne przedmioty, które okazują się butami. Włożywszy je, niczym jej późniejsza imienniczka, błąka się po znajomych, lecz zmienionych ulicach, spotyka nie-rozpoznająca ją zmarłą matkę, przemienioną w stos szarego jedwabiu, aż

wreszcie dociera do brata i odjeżdża z nim autem. „Pęd powietrza zerwał buty ze stóp Essentielle. Była wolna”. Essentielle Pierwsza odnajduje siebie. Essentielle Druga też się odnajdzie, tyle że po dłuższej podróży. Geograficznej i duchowej.

Twarz muśnięta smutkiem zaczyna się tak, jak kończą się bajki: „Wydano Essentielle za uczonego, niemal bez jej wiedzy, trochę tak, jak niegdyś wydawano młodziutkie księżniczki za następców potężnych tronów”. Odwrócenie ról, jakie się dokona wraz z rozwojem akcji, przypomina dziecięce rysunki Prassinosa, w których funkcje i konwencje poległy w nierównej walce ze zbyt inteligentną artystką. Rdzeniem, esencją, sensem bycia książki jest radość snucia opowieści, splatania wątków, układania łamigłówek, wymagającej od czytelnika uwagi. Tradycję opowieści szufladkowych Prassinosa odświeża, układając je koncentrycznie: każda historia odsyła do zagadkowych dziejów głównego bohatera.

Choć miesza style, choć czerpie z tradycji powieści pikardyjskiej i osiemnastowiecznej powiastki filozoficznej (stąd pełen dystansu i niedopowiedzeń, ironiczny ton), choć parodiuje fascynacje surrealistów „egzotyką” (w opisie trogonów i lirogonów) oraz język psychoanalizy, powieści science fiction i rozpraw medycznych, choć zainteresowaniem formą powieściową wpisuje się w swoją epokę, będącą świadkiem narodzin nowej powieści, *Twarz muśnięta smutkiem* - dzięki wyobraźni bez granic - pozostaje wierna poetyce wczesnych utworów pisarki. To ironiczna, sentymentalna, w pełni świadoma swej konwencji bajka. Autorka wciąż nam przypomina, że jesteśmy w krainie imaginacji, której główna mieszkanka, dzięki kłamstwom i talentu narracyjnym, przedzie rzeczywistość na naszych oczach. Kilkakrotnie wypowiedziana przez Essentielle magiczna formuła: „Wszystko to brzmi jak bajka...” oraz nieustannie zmieniane przez nią wersje własnej historii i dziejów obdarzonego sztucznym mózgiem uczonego tworzą oniryczny, paradoksalny świat. Łatwość przeinaczania faktów z przeszłości brawurowo ilustruje scena „przekładu” opowieści Essentielle przez Portugalczyka na wiodącym ich do Anglii statku.

Roland Topor za ważny w rozwoju dziecka moment uważał pierwsze kłamstwo, niosące ze sobą odkrycie, że poprzez opis można zmieniać rzeczywistość. Essentielle zmienia ją tak skutecznie, że gubi się w wątkach i szufladkowych narracjach, w tym, co jest prawdą, a co zmyśleniem. Każda próba zgodnej ze stanem rzeczy relacji kończy się skruceniem na stromą ścieżkę fantazji: „Wysłuchiwała setek opowieści i sama jedną opowiedziała,

udając, że to jej historia”. „Szczerze wierzyła w opowieść o swej pierwszej, jedynej miłości (...)”. Czasem fabulacja tłumaczy się racjonalnie: „Chcąc oszczędzić współpracownikowi bólu, Essentielle wołała ubrać prawdę w następującą opowieść (...)”. Częściej stoi za nią jedynie radość z pisania przeszłości na nowo.

Twarz muśnięta smutkiem jest też opowieścią o przemianie głównej bohaterki, między innymi pod wpływem spotkania z mityczną matką, jak wszystkie matki w twórczości Prassinosa, jednocześnie dobrą i złą, kochaną i odrzucaną. Jest także pełną humoru przypowieścią o życiu w parze. Tak jak Essentielle, nie wiemy, czyjej mąż jest intelektualistą bez serca, prymitywnym wandalą, genialnym artystą, bestią czującą się najlepiej w towarzystwie małpy, czy „ludzką istotą, do której nieśmiałego wnętrza Essentielle nie potrafi dotrzeć”. Małżonka eksuczonego należy za to bez wątpienia do barwnej rodziny obdarzonych wielką inteligencją, uporem, siłą woli i poczuciem humoru zbuntowanych bohaterek surrealistycznej literatury. Jak Marion Leatherby Leonory Carrington, Zazi Raymonda Queneau, Księżniczka Angina Rolanda Topora oraz prototyp ich wszystkich, Alicja z krainy czarów, Essentielle odnosi się do rzeczywistości z dystansem i dziecięcą ufnością, podszytą pierwszymi wątpliwościami, co do doskonałości „najlepszego ze światów”. Żadna z nich do cytowanego w motcie „świata dorosłych” nie należy. Essentielle, jak Niejaki Piórko Henri Michaux, błądzi między rzeczywistością a nadrzeczywistością, oba miejsca traktując na równych prawach.

Podobnie jak surrealistów, autorkę *Twarzy muśniętej smutkiem* fascynują samobójstwa: w tej krótkiej powieści popełnia je lub popełnić usiłuje aż siedem osób! Tak jak surrealiści, Prassinosa zdaje się wierzyć, że rzeczy mają duszę. Jej budowane w dzieciństwie oniryczne obiekty (wśród których była gilotyna z dwiema ściętymi głowami!), tworzone w dorosłym wieku rzeźby są krewniakami surrealistycznych przedmiotów o symbolicznym znaczeniu. Odkrywszy przypadkiem tajemnicę sztucznego mózgu męża, Essentielle wpada w zachwyt, wspominając podziwiany w dzieciństwie rozbity zegarek: „Co za radość wniknąć w tajniki księżycowego stworzenia, leżącego na ziemi z poderżniętym gardłem, między potłuczoną na drobne kawałki szklaną tarczą i pogiętą srebrną kopertą! Jeszcze, biedactwo, każdą cząsteczką oddychało...”.

Wiele podobieństw łączy Gisèle Prassinosa z Leonorą Carrington. Uderza choćby zbieżność epizodu *Twarzy muśniętej smutkiem* i wydanej kilkanaście

lat później powieści Carrington *Trąbka do słuchania*. Bohaterki obu książek po śmierci platonicznego przyjaciela dokonują odkrycia, iż był on kobietą w przebraniu (rozczarowanie Essentielle jest tak wielkie, że ucieka przed pochówkiem). Przypadkowa analogia? Chyba tak, bo trudno zakładać, że mieszkająca w Meksyku Carrington przeczytała wydaną we Francji powieść. Raczej więc pokrewne, przewrotne poczucie humoru: Prassinos, jak Carrington, śmieje się z własnych dowcipów.

W filmie animowanym Rolanda Topora i René Laloux *Ślimaki łyż* zrozpaczonego nieurodzajem chłopca sprawiają, że kapusta rośnie w oczach. Zwabione nią gigantyczne ślimaki-mutanty niszczą ludzką cywilizację, z której ocaleje jedynie bohater z pierwszej sceny. W ostatniej widzimy go, jak - dla większej skuteczności wachając cebulę - podlewa łzami marchewkę. Zza horyzontu wyglądają już monstrialne króliki...

Przełom w nieskutecznych dotychczas próbach naprawienia zepsutego mózgu męża nastąpi dopiero wówczas, gdy straciwszy wiarę w technikę, Essentielle zrosi niedziałający mechanizm łyż rozpaczy. Koniec jak w bajce, lecz Prassinos zbyt nasiąkla wczesną lekcją surrealizmu, by w happy end wierzyć. Kilkadziesiąt stron dalej małżonek wybierze Essentielle, a nie inną kobietę, tylko dlatego, iż ma pewność, że zyska w ten sposób święty spokój. Po czym, ledwie wyzdrowiawszy, wróci do książek, obojętny na resztę świata. Łza przynosi skutek oczekiwany, lecz za nim kryją się nowe niespodzianki i nowe znaki zapytania. Czy to parodia sławionej przez surrealistów *amour fou*? Miłości, która góry przenosi tylko po to, by w dusznej bibliotece spocząć w towarzystwie oziębłego wybrańca? Od czasu do czasu autorka mruga przeciw do czytelnika, kpiąc z surrealistycznych teorii, choćby na temat kobiecej natury („Lecz kobieca mądrość nie dorównuje małpiej”). Czy też czterdziestoletnia Gisèle Prassinos dojrzała w takim rozwiązaniu *modus Vivendi* do przyjęcia, propozycję lepszą od włóczęgi po świecie pod rękę z zadurzonym młokosem? Nawet jeśli takie były jej intencje, czytelnicy wiedzą na pocieszenie jedno: że u boku męża-gbura Essentielle znów przekształci smutną rzeczywistość w kolorową fikcję. Może tym razem - znudzona podwodną żegluga i ziemskimi podróżami - poszybuje na dziką planetę? Gdyby zaś nawet to nie pomogło, będzie wiedziała, że wystarczy pociągnąć mędrca za prawe ucho, uchylić miedzianą pokrywę, poszperać pod nią, wyjąć lśniącą śrubkę, schować głęboko w kieszeni, po czym spokojnie czekać, co będzie dalej...

Agnieszka Taborska

*Proszę mi wierzyć,
ja do świata dorosłych nie należę.*

Katherine Mansfield

Rozdział pierwszy

Wydano Essentielle za uczonego, niemal bez jej wiedzy, trochę tak, jak niegdyś wydawano młodziutki księżniczki za następców potężnych tronów.

Narzeczonego ujrzała dopiero w dniu ślubu. On miał więcej szczęścia: dzięki fotografii, jaką mu wręczono, wiedział, jak wygląda twarz przyszłej żony, jedynie twarz. Gdy pokazano mu fotografię, kolejną w serii kilkudziesięciu - spośród których agencja matrymonialna kazała wybrać - powiedział tylko, nie podnosząc wzroku znad książki: „Usta tej osoby wydają się nader kształtne”. Mimo że jego entuzjazm ograniczył się do tej uwagi, wystarczyło to, by zapadła decyzja o ślubie.

Uczony był człowiekiem wyjątkowym, szlachetnym, wybitnym. Nie miał czasu na przerwanie badań i poznanie tej, którą tak przypadkowo wybrał na żonę. Zresztą ryzyko obudzenia zmysłów przed ślubem - którego celem miało być zaspokajanie potrzeb na miejscu, szybko i bez ceremonii - wydawało mu się nierozsądne. Praca, której poświęcił życie, mogłaby ucierpieć.

Tak więc młoda kobieta i jej przyszły mąż poznali się dopiero w merostwie, gdzie wyznaczono im spotkanie.

Małżonek był tym bardziej niezwykły, że posiadał sztuczną inteligencję, jedyną na świecie. Kiedyś, gdy pracował jako górnik w kopalni, jego czaszka uległa przedziurawieniu w wypadku spowodowanym wybuchem metanu. Fatalnie uszkodzony mózg zastąpiony został mechanicznym organem tak doskonałym, że pacjent postanowił porzucić dawny zawód i poświęcić się pracy naukowej.

Ktoś niewtajemniczony, nie rozumiejąc, dlaczego mąż Essentielle nosi na głowie miedziany hełm, którego blask w słoneczne dni ożywia na ścianach wesole, nieuchwytnie duszki, mógłby wziąć uczonego za rozkapryszzonego ekscentryka. Choć, przyjrzawszy się chwilę szlachetnej twarzy, nad którą górowała pokrywa mózgu, trudno było poprzestać na tak prostej konstatacji. Przy głębszym wejrzeniu spostrzegano się pośrodku miedzianego czoła na przedłużeniu nosa coś na kształt pionowej rysy, przeciętej z każdego końca inną rysą, dłuższą. Dokonawszy tych obserwacji i wykorzystawszy je w sposób inteligentny, ktoś niewtajemniczony doszedłby

do wniosku, że hełm otwiera się tam dzięki dwuskrzydłowym drzwiczkom. W jaki sposób się jednak otwiera i co się po otwarciu ukazuje?

Młodziutka Essentielle nie zadawała sobie takich pytań. Prawdę mówiąc, jej myśli rzadko były tam, gdzie ona. Jednym słowem, Essentielle bywała roztargniona i nie jest pewne, czy zauważyła tę szczególną cechę małżonka. A jeśli nawet tak, to świadomość, że miedziany hełm jest gustowny, dziwaczny i zabawny, z pewnością jej wystarczyła.

Ogromnie się więc zdziwiła tym, co nastąpiło, gdy uczony po raz pierwszy chciał ją posiąść. Pewnego dnia, między lekturą dwóch stron, wzięła go nagła chęć i dość brutalnie rzucił się na żonę. Ta, zdziwiona, przestraszona, bezwiednie i tylko w geście obrony, pociągnęła go za prawe ucho. I tak odkryła będący do tej pory tajemnicą chirurga i chorego sposób otwierania drzwiczek pokrywy, pod którą krył się sztuczny mózg. Incydent ów wpierw zakłócił, a potem przerwał nerwowe ruchy uczonego. Gestu swego Essentielle nie żałowała.

Była zachwycona tak samo, jak kiedyś w dzieciństwie, gdy jej dziadek upuścił zegarek. Co za radość wnikać w tajniki księżycowego stworzenia, leżącego na ziemi z poderżniętym gardłem, między potłuczoną na drobne kawałki szklaną tarczą i pogiętą srebrną kopertą! Jeszcze, biedactwo, każdą cząsteczką oddychało...

Ludzki mózg przypominał dziesięć zegarowych brzuchów razem wziętych. Przekładnie zębate, cylindry, sprężyny, wychwyty kotwicowe, śrubki, rubiny, regulator chodu - wszystko tam było lśniące i radosne. Słysząc było nawet tykanie, stłumione przy zamkniętych drzwiczkach. Wcześniej Essentielle chyba go nie słyszała. Choć, gdy ogarnięty pożądaniem mąż zawołał ją, zdziwiła się osobliwym dźwiękiem, który wzięła za bicie własnego serca. Później nauczyła się rozpoznawać tykanie w długiej i nudnej ciszy, narzucanej przez obecność uczonego. Nie tylko potrafiła tykanie rozpoznać, ale po kilku tygodniach dobrze wiedziała, co znaczą zwolnienia i przyspieszenia, zasięg dźwięków i nagła cisza. Gdy nocą małżonek pogrążony był w snach, żona domyślała się, jaka walka wrze w jego głowie. Może wspomnienia dawnego górnika oblegały wzniesiony z tysiąca elementów metalowy fort, który - przesiąknięty nauką - odrzucał je z odrazą? Można się było tego domyślać, choć Essentielle jeszcze tajemnicy nie odkryła. Za to po każdym posiłku maszyna zwalniała obroty. Uspokojona, rozkoszując się krótkim odpoczynkiem, wydawała dźwięki tak ciche, że oddech jej właściciela zagłuszał je całkowicie.

*

Uczony zawsze nosił długi czerwony szlafrok. Przechadzał się po domu, rozmyślając, z rękoma skrytymi w rękawach. Na jego obliczu rysował się jeden z dwóch ledwie uchwytnych wyrazów: skupienie połączone z niepokojem i rozdrażnieniem, bądź - gdy stawał - coś na kształt próżności czy zadowolenia, które łagodziło długą, ascetyczną twarz, sprowadzając na nią niemal uśmiech. W każdym razie targające nim uczucia można było wyczytać jedynie między brodą a krzaczystymi brwiami. Czoło powyżej - u innych przemawiające zmarszczkami - było gładkie i enigmatyczne.

Młodziutka Essentielle była co prawda ciekawska, ale cechowała ją też powierzchowność i niecierpliwość. Łakoma nowinek zdolnych pobudzić jej senny umysł, nie potrafiła się skupić, by chłonać informacje czy dostarczać umysłowi koniecznych bodźców. Chwila, gdy ujrzała, jak działa mechanizm leżący u podstaw tylu niezwykłych odkryć, zachwyciła ją, lecz nie skłoniła do refleksji. Toteż żyjąc u boku surowego mężczyzny nie-odzywającego się do niej słowem, w domu, gdzie wszelkie prace wykonywali inni, szybko zaczęła się nudzić.

Pewnego ranka mąż uznał za stosowne pożyczyć jej grube, uczone tomiska, których lekturę właśnie zakończył. Poprosił też, by siadła przy biurku w kącie jego pokoju. Przekonany, że nic więcej Essentielle do szczęścia nie trzeba, sam zasiadł do pracy z poważną, zgłodniałą miną, kto wie, może szczęśliwy, że ma towarzyszkę lektury.

I tak było co dzień, od rana do wieczora. Essentielle nie przewracała nawet kartek. Czuła się samotna, brak jej było ruchu i powietrza, męczyła monotonia długich godzin. Lampka oświetlająca biurko uczonego nawet w środku dnia ledwie pozwalała dostrzec zagłębioną w pracy sylwetkę. Za to sufit obramowywał jego cień w dziesięciokrotnym powiększeniu. Czasem, gdy intelektualna przyjemność mu nie wystarczała, uczony długo opowiadał Essentielle o rzeczach, których nie mogła zrozumieć. Zdecydowanie wolała to jednak od ciszy. Wystarczało, by nieznanne słowo przypomniało jej jakieś imię, a imię czyjaś twarz, by otwarły się w niej okienka, z których wyglądały tysiące innych, dawno zapomnianych twarzy. Podczas gdy uczony dalej rozprawiał o swych przemyśleniach, Essentielle wyruszała w daleką podróż do ogrodów dzieciństwa. Tykanie sprowadzało ją z powrotem do męża. Głośny pomruk sztucznego mózgu - wyolbrzymiony, gdy uczony szczególnie

zapalał się do tematu - wypełniał pokój: ostry, przenikliwy i metaliczny. Essentielle kulila się nad niezrozumiałą księgą.

Wkrótce tak zmizerniała, że małżonek pozwolił jej spacerować pół godziny dziennie pod warunkiem, że nie będzie wychodzić poza chodnik naprzeciw kamienicy. Był to luksus, na który uczony sam sobie nie pozwalał. W zbyt rzadko widywanym słońcu oczy Essentielle mrużyły się z zachwytu, udawała więc niewidomą, dotykając dłonią muru, wzdłuż którego szła.

Obdrapany tynk dostarczał wielu niespodzianek. Dzięki rozbudzonej wyobraźni odbywała po nim dalekie podróże. Przemierzała jałowe równiny, gdzieś przetkane aksamitem mchu, kojącym stopy niczym syrop wyschnięte gardło. Wbiegała na szczyty wzgórz, wspinała na zbocza gór, odpoczywała w jaskiniach, w których wcześniej znaleźli schronienie inni nomadzi. Poznała wiele osób. Samotników i pary bez miłości. Sieroty, wdowców, stare matki szukające utraconych synów. Była świadkiem zawiązanych na zlodowaciałej ziemi romansów, które rozpadały się o świcie. Wysłuchiwała setek opowieści i sama jedną opowiedziała, udając, że to jej historia. Zaprzyjaźniła się z długowłosym młodzieńcem, bardzo przystojnym i bardzo wesołym, który - by sprawić jej przyjemność - zajmował się przemytem. Zamieszkali w zacisznej grocie i żyli długo w świetnej komitywie, dniem i nocą rozmawiając oraz bawiąc się w kłótnie i wymyślanie tysięcznych kłamstw. Pewnego ranka przyjaciel wrócił z wyprawy zakrwawiony. Strzał z tajemniczej strzelby zranił go w głowę. Wkrótce potem zmarł. Essentielle rozebrała go, by umyć przed pochówkiem i stwierdziła, że był kobietą w przebraniu. Uciekła więc, nie grzebiąc ciała.

Tego samego dnia jej dłoń napotkała prawdziwą jaszczurkę. Zabrała ją ze sobą, by mieć rozrywkę w trakcie długich godzin studiów. Nazajutrz znalazła ptaka, potem chrabąszcze i dżdżownice. Wszystkie te stworzenia skakały po jej obnażonych rękach. Ciepło jednych, chłód innych bawiły ją, równocześnie przejmując odrazą. Miała jednak poczucie, że jest wolna, bo tyle rzeczy robiła w ukryciu. Sprawiało jej to przyjemność. A przecież uczony niczego nigdy nie zakazywał, ale sama jego obecność, powaga, tryb życia oraz uczuciowa pustka, którą ją otoczył, czyniły z Essentielle więcej niż więźniarkę.

Od czasu do czasu przychodziło jej do głowy, by dla odmiany przewrócić kartkę grubego tomiska.

Podróże wyobraźni i kolekcjonowanie zwierząt szybko ją znudziły. Zdradzanie poważnego małżonka też przestało ją bawić, tak mizerna wolność już jej nie wystarczała. Znowu więc zapragnęła czegoś nowego.

Rozdział drugi

Pewnego ranka, doszedłszy do końca codziennej trasy, czyli do skraju chodnika, Essentielle - która nigdy przedtem ani razu nie pomyślała, by zbuntować się i pójść dalej - poczuła coś na kształt zawrotu głowy. Jeszcze krok, a otworzą się przed nią wrota ucieczki, wolności, przygody. Z nogą w powietrzu nad jezdnią dzielącą dozwoloną strefę od drugiej części chodnika, już miała zrobić decydujący krok rejterady, o której myśl w niej zakiełkowała, gdy z obawą spojrzała za siebie. W oknie ujrzała obserwującą ją nieruchomą twarz muśniętą smutkiem, długie oblicze o miedzianym czole. Po raz pierwszy spostrzegła kolor oczu mędrca. Były bardzo niebieskie. Widząc, że mąż jest tak mało zdziwiony, wcale nie rozgniewany, tak pogodzony z losem, pojęła, że nic nie uszło jego uwadze: ani jej podróże, ani zwierzęta, ani nuda. Zrozumiała, jak bardzo był pobłażliwy i delikatny. Poczuli się naga, zawstydzona i wreszcie nie samotna.

Niejasne poczucie, że się myliła, że żyła u boku ludzkiej istoty, do której nieśmiałego wnętrza nie potrafiła dotrzeć, jeszcze bardziej mglista nadzieja, że teraz, uzbrojona w ową wiedzę, będzie umiała dzielić z nowo odkrytym mężem czułość i miłość, zdziwienie, żal, nagle ciepło w brzuchu sprawiły, że zawróciła.

W tym właśnie czasie uczony poważnie zachorował. Wysiłek badawczy, dzień po dniu ponawiany, nie tylko nie męczył sztucznego mózgu, ale go doskonalił i wzmacniał. Niezależny mechanizm, którego niezbędnym napędem było myślenie, nie mógł znieść ingerencji zbyt ludzkiego uczucia. Melancholia wywołana myślą o stracie młodej żony, którą uczony na swój sposób kochał - choć nie przyznawał sobie prawa do jej zatrzymania - wprowadziła mechanizm w nadzwyczajne napięcie, zakłócające pracę delikatnych, skomplikowanych przekładni zębatych.

Nazajutrz po niedosłej ucieczce małżonki mędrzec nie był w stanie wstać z łóżka. Leżał bez ruchu, niezdolny do wypowiedzenia słowa. Smutek, jaki dostrzegła Essentielle, nadal malował się na jego twarzy niczym oskarżycielska, lecz i wiele obiecująca, słodka i okrutna maska, raniąca winowajczynię w samo serce. Bez wątpienia choroba naruszyła sztuczny mózg. Tak więc młoda pokutnica ani nie mogła zebrać owoców słusznych

wyrzutów sumienia, ani żywić nadziei, że przed jej samotnością otwiera się lepsza przyszłość.

Essentielle całkowicie opanowało pragnienie, by spowodować, że jej towarzysz odzyska dawną sprawność. Niewiasta ta, dotychczas zdradzająca skłonności do życia biernego, znalazła w sobie dość siły, by działać szybko i skutecznie.

Przede wszystkim przepytala służbę. Czy ktoś znał chirurga, który przeprowadził operację? Jedyne osoba, mająca na ten temat coś do powiedzenia, dawny szofer, a dziś kucharz, odmówił zeznań, twierdząc, że zaprzysiągł swemu panu milczenie. Decyzją jego nie zachwiały ani zapowiedź nagrody, ani obietnice i groźby. Wolał się otruć.

Po zamknięciu dochodzenia sądowego, które znacznie opóźniło jej własne, Essentielle zaczęła rozmawiać z lekarzami, odwiedzać szpitale, błagać o audiencje słynnych profesorów. Niektórzy przypominali sobie „sprawę”, dokładnie sytuowali ją w czasie, przypisywali chirurgowi-cudotwórcy coraz to inne narodowości, gotowi byli szczegółowo opowiadać o jego życiu osobistym...

Jeden z profesorów zapewniał, że sławny ów doktor był zabójcą. Ożenił się bardzo młodo, zdaje się, że z arystokratką, studiował na koszt żony, luksusowo mieszkał dzięki jej pieniądзом, po czym zaczął ją zdradzać, krótko mówiąc historia banalna. Mniej banalne było to, iż ból i zraniona duma do tego stopnia przemieniły jego żonę, kobietę dumną i dyskretną, że zaczęła wszem i wobec rozpowiadać, jak strasznych zniewag doznaje od małżonka. Stała się dlań groźna i niewygodna. Otworzył więc skrycie jej czaszkę i tak długo pracował nad mózgiem, aż przemieniła się w istotę zgorzkniałą, całkowicie bierną, niemą i tak uległą, że bez trudu doprowadził ją do samobójstwa.

Inny lekarz utrzymywał, że chirurg wiódł życie bez skazy - miał jedną żonę i sześcioro dzieci, w tym pięciu nienormalnych synów, przebywających w najlepszych zakładach - lecz zdecydowanie zaprzeczał, że był geniuszem, którego niektórzy w nim widzieli.

Żaden z profesorów nie potrafił jednak przypomnieć sobie ogólnie znanego nazwiska. Twierdząc, że mają je „na końcu języka”, daremnie usiłowali je wypowiedzieć.

Pewien młody, utalentowany radiolog, wrażliwy na wdzięki Essentielle i wzruszony jej rozpaczą - cierpiała bowiem lub tak się jej zdawało - zaproponował pomoc w formie zbyt zażyłej, na co dla dobra męża przystała, lecz bez oczekiwanego rezultatu. Wykorzystawszy ją, cynik wyznał, że nigdy nie słyszał ani o chirurgu, ani o słynnym, sztucznym, mechanicznym mózgu, w którego istnienie zresztą nie wierzył.

Wreszcie członkowie wydziału medycznego, zmieszani losem jednego z największych intelektów, sami przeprowadzili dochodzenie, zwieńczone smutnym odkryciem: twórca sztucznego mózgu od dziesięciu lat nie żył.

Dawny uczeń mistrza, nadal zajmujący się jego dziedziną, wiedziony chęcią zbadania delikatnego mechanizmu, złożył choremu wizytę. Był uczciwy. Spędziwszy dwa dni na obserwacji mechanizmu, sporządzaniu notatek, wprowadzaniu przyrządów, które miały pobudzić przekładnie zębate, przyznał, że nic nie może zrobić.

Jako do ostatniej deski ratunku Essentielle zwróciła się do zegarmistrzów oraz producentów automatów i pozytywek, którzy dzięki rzetelnym wysiłkom osiągnęli pewne rezultaty.

Po ich wizycie dała się u badacza zaobserwować dziwna przemiana. Jakby osobowość górnika, uwolniona spod wpływu mechanicznego mózgu, chciała się na nowo zmanifestować. Od jakiegoś czasu chory znów zaczął chodzić, lecz Essentielle - nie wiedząc, jaki mąż uprawiał niegdyś zawód - źle tłumaczyła sobie gwałtowność jego gestów. Jedynym celem tego tak niegdyś zrównoważonego człowieka stało się teraz zniszczenie wszystkiego wokół. Gdy tylko napotykał ciężki i długi przedmiot, najlepiej z ostrym końcem, zaczynał walić w ściany, lecz nie po to, by wykuć drogę ucieczki czy dokonać szkód: wkładał w to, co robił, zbyt mało pasji. Zdawał się zachowywać automatycznie, jakby nauczył się owych ruchów przez wielokrotne powtarzanie. Gdy do połowy zagrzebany pod rumowiskiem nie mógł kontynuować pracy, układał gruz w równe kupki i ruszał na poszukiwanie głębokiego pojemnika, który wypełniał i pchał przed sobą. Wieczorem schodził wykończony na dół, wsiadał do windy i wracał do siebie. Brał prysznic i kładł się spać.

Czy całkiem stracił umiejętność porozumiewania się za pomocą języka, czy też osobnik, którym się stał, nie czuł potrzeby posługiwania się czymkolwiek poza gestami? Często przyglądał się żonie, jakby widział ją po raz pierwszy. Czasem - wciąż jej nie poznając - uśmiechał się, gestami

wyrażał pospieszne zaloty, rozbierał ją, mrucząc pod nosem słowa w nieznanym języku i zaciągał do łóżka, gdzie jego wiedza erotyczna okazywała się bardziej wyrafinowana niż dawniej. Na koniec wybuchał szlochem, wzywając niejaką Olgę, po czym, uspokojony, zasypiał. Rano przed powrotem do pracy zaglądał do portfela i wyciągał banknot, który najczęściej kładł pod popielniczką.

Osobnik ten nie bardzo podobał się Essentielle, która z nostalgią wspominała twarz o miedzianym czole, jaka ukazała się jej w oknie w dniu niedoszłej ucieczki. Choć oblicze uczonego zachowało wyraz, który cudem powstrzymał ją przed wcieleniem w życie postanowienia, Essentielle trudno było wierzyć, że czai się pod nim jakiegokolwiek uczucie. Wolałaby już, by małżonek znów stał się poważny, milczący i nieobecny, wiedziała bowiem, że drzemie w nim coś jeszcze: że potrafi kochać i cierpieć w milczeniu. Wyobrażała sobie, co za cuda mogłaby wówczas odkryć. Podniecała ją myśl o pracy nad ową posępną duszą, nieznaną samej siebie, perspektywa kierowania i oddziaływania na nią.

Nie pozostawała jednak całkiem nieczuła na zalety nowego męża. Wzbudzał w niej uczucia macierzyńskie. Czasem, gdy spał, głaskała go i obejmowała, jakby był nieszczęśliwym dzieckiem. Często zarządzała otwarcie złotych wrót i na długo zagłębiała spojrzenie w spokojnej nocy rozregulowanego mózgu.

Chcąc jak najszybciej uzdrowić chorego, postanowiła dostarczyć mu rozrywek. Gdy szykował się do kolejnego etapu niszczenia domu, łagodnie wyjmowała mu z ręki to, co służyło akurat za kilof, i podsuwała jedno z grubych tomisk, które tak niegdyś kochał. Teraz jednak nie wiedział, co z nim robić. Znieruchomiały, trzymając księgę w dłoniach, które stały się wielkie i stwardniałe, wydawał się zagubiony, pokorny i bezbronny. Tak że Essentielle, litując się nad nim, prowadziła go do stołu, sadzała w fotelu, gdzie spędził tyle pracowitych dni, i czytała na głos zdania, które w oczach nieszczęśnika nie potrafiły wywołać choćby błysku.

Essentielle wydorosłała. Zdolność podejmowania decyzji, którą od jakiegoś czasu przejawiała, tak przeciwna marzycielskiej naturze ciągle aktywność fizyczna i umysłowa, zdumiałyby jej własną matkę.

Pewnego dnia zdecydowała się przeprowadzić. Prócz tego, że trudno było przebywać w mieszkaniu przemienionym w plac rozbiórki, były erudyta szykował się do zaatakowania ścian sąsiadów.

Essentielle wynajęła hangar na porzuconym lotnisku, w którym zamieszkali. Mąż nie spoczął, nim nie wybił otworu w blaszanej ścianie nowej siedziby. Oczywiście szkody były nieporównywalne ze szkodami w murowanym domu. Zniszczenia powstawały wolno, dziura za dziurą. Essentielle zatykała je woskiem.

Czas płynął, a chory zdawał się nie zmieniać, prócz tego, że zdradzał coś na kształt smutku czy niezadowolenia, iż jego ulubione zajęcie napotyka same przeszkody.

Rozdział trzeci

Essentielle już się nie nudziła. Z jednej strony musiała zajmować się wymagającym ciągłych napraw hangarem, z drugiej czuła, iż eksuczony znajduje się w takim stanie ducha, że trzeba mu jak najszybciej pomóc. Zachodziła w głowę, jak...

Na razie najlepszym rozwiązaniem wydała się jej nowa przeprowadzka, gwarantująca małżonkowi świeże ściany. Mieszkali kolejno w gospodarstwie normandzkim, w dawnej fabryce biszkoptów na przedmieściach Paryża i w pseudopiętnastowiecznej rezydencji, zaklasyfikowanej kiedyś pomyłkowo jako zabytek, a potem porzuconej z myślą o późniejszym wyburzeniu wraz z całą morową okolicą. Gdy dach kolejnego lokum groził zawaleniem, Essentielle wyruszyła na poszukiwanie następnego miejsca.

Jednocześnie podjęła korespondencyjną naukę zegarmistrzostwa i mechaniki precyzyjnej w nadziei, że sama się kiedyś odważy zbadać rozregulowany mózg, i w ten sposób zacznie wcielać w życie przemyślany szczegółowo plan. Celem jej było poznanie człowieka o dostrzeżonej niegdyś w oknie „twarzy muśniętej smutkiem”. Im więcej czasu mijało, tym bardziej pragnęła go odnaleźć. Stało się to jej obsesją.

W rzadkich chwilach odpoczynku, szczególnie w nocy, gdy jej towarzysz spał, oddawała się marzeniom i zaczynała żałować przeszłości, którą do woli teraz przetwarzała. Kilka miesięcy poprzedzające zastój sztucznego mózgu zdawały się jej ciągiem wielu szczęśliwych lat. Ani nuda, ani samotność, ani próba ucieczki nigdy nie pojawiały się we wspomnieniach. Essentielle o tym wszystkim zapomniała.

Stopniowo wmówiła sobie, że badacz „był małżonkiem czułym, taktownym i uczynnym i że dzięki niemu kapryśna dziewczyna, jaką niegdyś była, stała się osobą wykształconą i praktyczną”. Wyssane z palca wspomnienie ich „wspólnych, pracowitych dni i skupionej, twórczej atmosfery biblioteki” doprowadzało ją do łez. „Czy dla żony uczonego może być większy powód do dumy niż pomagać mężowi w spełnianiu jego powołania?” - pytała sama siebie. Uwierzyła, że „poważnie przyczyniła się do ostatnich odkryć, co powiedział jej kiedyś z dumą, ale przyznawała się do

tego niechętnie, bo była skromna i chciała, by wszystkie zasługi przypisano jemu”.

Wydawało się jej też, że pamięta wieczorne wyjścia. „Kiedyś, na przykład, byli zmęczeni, ale szczęśliwi. Spacer przez godzinę czy dwie w tętniącym życiem, zagadkowym tłumie, komedia obejrzana w kinie czy humorystyczny spektakl w teatrze przynosiły im odprężenie, pozwalały umysłom odpocząć od chłodnych abstrakcji, lecz również zwiększały zapał i zaostrzały głód poważnych tematów”.

W letnie niedziele jeździli do zoo w Vincennes. Była tego pewna, widziała się, jak bierze go pod rękę i, gdy tylko wyobraźnia pozwalała, czuła chłód dotykającego jej dłoni ciała. Płuciom ludzi spędzających większość czasu w pozycji siedzącej trzeba świeżego powietrza, zapachu roślin, natury, nawet jeśli jest to pustynia z betonu, na której wygrzewają się smutne lwy. Szum liści, czasem cichy i delikatny, kiedy indziej, przy silniejszym wietrze, podobny do refrenu morza, przypominał im wiosny spędzane na wsi i lata nad morzem, które miłość do nauki z roku na rok coraz bardziej spychała w zapomnienie. Zwykły gest rzucania zwierzętom chleba przenosił ich w czasy młodości. Opowiadali sobie anegdotki z dzieciństwa i zachwycali - jedno dziewczynką, drugie chłopcem, którzy nigdy nie wzięli się za ręce i których wiszące obok siebie portrety za szkłem tworzyły w ich sypialni osobliwą parę. Często obiecywali sobie, że później, gdy badania będą bardziej zaawansowane, pomyślą o potomstwie.

„Pewnego dnia w ogrodzie zoologicznym - marzyła Essentielle - zamieniłam kilka słów na temat małp z nieznajomym, który pożyczył mi lornetkę, co wywołało zazdrość uczonego. Przez resztę spaceru był ponury, a po powrocie, zamiast jak zwykle pogwarzyć ze mną przy herbatce, zamknął się w gabinecie, by samotnie pracować.

Nie po raz pierwszy erudyta okazał złość w takiej sytuacji. Jeszcze przed ślubem chciał mieć Essentielle wyłącznie dla siebie, łatwo się obrażał i szalał z powodu najbardziej niewinnego, kokieteryjnego gestu, uczynionego przez narzeczoną w obecności studentów. Przed zawarciem związku wymógł na niej pozbycie się oprawnego w skórę egzemplarza Koranu - podarunku od młodego kochanka matki. Był to Egipcjanin z książęcej rodziny, emigrant i sierota. Essentielle traktowała go jak brata i smutek, który odczuła po jego śmierci, stał się dla uczonego przyczyną udręki.

Reakcje małżonka, mimo że nie zawsze najszlachetniejsze - zdradzały bowiem bezsensownie destrukcyjną, pyszną i purytańską stronę jego natury - umacniały Essentielle w przekonaniu, że jest do niej niezwykle przywiązany, toteż nie miała mu ich za złe i bez głowienia się nad przyczyną czekała, aż kryzys minie. Potrafił przecież być tak dobry, mądry i wyrozumiały...”.

Oto jak łudziła się nasza sanitariuszka, spoczywając przy wyczerpanym przedmiocie swych trosk i żalów.

Szykując się do próby przywrócenia badacza do życia, Essentielle powtarzała sobie, że wytrzyma głośną i niszczycielską obecność szaleńca z kilofem. Poblążliwie znosiła jego nocne ekscesy, przekonana w swych rojeniach, że daleko im do doskonałości jego poprzedniego wcielenia.

Tymczasem role się zmieniły: Essentielle uczyła się do egzaminów. Pracowała bez wytchnienia, z twarzą pochyloną nad grubymi podręcznikami bądź schematami skomplikowanych mechanizmów, a górnik odrabiał codzienny urobek w nastroju raczej minorowym.

Egzaminy końcowe zdała śpiewająco. Jej referat podsumowujący pięć lat nauki wywołał takie owacje, że pod wpływem kilku zachwyconych profesorów kierownik szkoły poradził, by dalej specjalizowała się w tej dziedzinie, podejmując studia uniwersyteckie. Dawno już wybrała elektronikę.

W ramach zajęć praktycznych zbudowała minirobota. Był to blaszany lis, bardzo prosty w konstrukcji, którego nos - czerwona żarówka - świecił, gdy w pobliżu zjawiał się drób. Robot potrafił też zrobić kilka kroków w kierunku leśnej zwierzyny. Sukces ów zachęcił Essentielle do dalszych eksperymentów. Pracowała do upadłego nad nowym pomysłem, gdy jeden z kolegów, najzdolniejszy na roku wyżej, zaproponował współpracę nad zbudowaniem sztucznego ucha. Była to propozycja kusząca, tym bardziej, że projekt taki zbliżał ją znacznie do tego, na czym zależało jej najbardziej: do zrozumienia, jak funkcjonuje jedyny na świecie sztuczny mózg. Uważając, że jest jeszcze niegotowa do owego zadania, małżonka eksuczonego powodowała się nie tyle skromnością, co podświadomą chęcią opóźnienia chwili działania. Czyż „twarz muśnięta smutkiem” nie była jej dziełem? Rzecz jasna, nie w sensie naukowym, lecz uczuciowym. Czy nie ponosiła ryzyka, iż poddając sztuczny mózg operacji, utraci to, co tak całkowicie ją przemieniło, uzyska zaś coś, co może się okazać wcale nie najlepszym terenem, na

którym mogłaby rozkwitnąć dusza uczonego? Opanowywały ją to wątpliwości, to znów pewność, że musi kontynuować studia aż do czasu, kiedy będzie pewna sukcesu.

Tymczasem, gdy górnik zajęty był burzeniem piętnastej i ostatniej siedziby, z muru niespodzianie oderwał się kamień i zranił go w kolano. Essentielle pielęgnowała go troskliwie, lecz gdy rana się zagoiła, okazało się, że kolano jest sztywne. Kulawy, postarzały, zmęczony robotnik uznał, że nie nadaje się już do niczego i zaniechał dalszej pracy. Choć była to jego własna decyzja, źle znosił nieróbstwo i popadł w niepokojącą neurastenię. Ileż razy, wracając z wykładów, Essentielle widziała twarz o miedzianym czole wykrzywioną i zroszoną łzami? Małżonek próbował otruć się gazem, niepomny, że liczne otwory, jakie własnoręcznie wybił w ścianach, wpuszczając świeże powietrze, chronią go przed śmiercią. Gdy Essentielle znalazła go na łóżku, na którym leżał ubrany w najlepszą marynarkę, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach i twarzą tak spokojną, jakby naprawdę nie żył, postanowiła przeprowadzić się raz jeszcze. Z pewnością widok dokonanych przez siebie, a nieukończonych spustoszeń, zwiększał tylko melancholię emeryta. Gdzie indziej, w eleganckim, pełnym kwiatów miejscu, odzyska może radość życia.

Z majątku małżonka nic już prawie nie zostało, toteż Essentielle postanowiła ciągnąć zyski z wynalazków. Sprzedane za granicą patenty przyniosły okrągłą sumkę, którą przeznaczyła na potrzeby chorego. Słyszała wiele o uroku i spokoju angielskiej wsi, zdecydowała się więc opuścić Francję i zawieźć uczonego do Wielkiej Brytanii.

Nie chodziła już na wykłady na uniwersytet, pracowała ze swym towarzyszem w laboratorium. Próba zbudowania sztucznego ucha co prawda się nie powiodła, nie dawali jednak za wygraną. Przeciwnie, wierząc, że wiele się dzięki niej nauczyli, podjęli pracę nad kolejnym, dużo trudniejszym projektem, który, zdaniem Essentielle, miał bezpośrednio pomóc w jej misji. Chcąc przekonać naukowca, by wyjechał z nią za granicę, gdzie mogliby spokojnie kontynuować doświadczenia, postanowiła zwierzyć mu się z kłopotów i planów. Od początku ich współpracy młodzian nie taił, że żywi dla niej coś więcej niż szacunek. Czy wiadomość o małżeństwie, które przed nim kryła, oraz o płynącym z miłości oddaniu, nie zraniłaby go, powodując, że się z żalu wycofa? Chcąc oszczędzić niezastąpionemu współpracownikowi bólu, Essentielle wołała ubrać prawdę w następującą opowieść:

- Kryk urodził się w Omsku - zaczęła - jako nieślubne dziecko w rodzinie przybyłej ze Swierdłowska, wywodzącej się od Vareguesow, przemysłowców skandynawskiego pochodzenia. Ojciec go uznał i wychował w swym majątku. W zależności od widzimisie pani domu czasem mieszkał z przyrodnimi braćmi, czasem na pięttrze ze służbą.

Choć od najmłodszych lat Kryk zdradzał zainteresowanie anatomia, macocha się uparła, by po skończeniu szkoły podstawowej poszedł na praktykę do kapelusznika. Ojciec wpadł we wściekłość, powiedział żonie, że po raz kolejny daje dowód, jak bardzo jest niesprawiedliwa i małostkowa, po czym, by niezadowolone zmanifestować dobitniej, na kilka dni znikł.

A że narodziny niechcianego syna piętnaście lat wcześniej były rezultatem podobnych sankcji (o czym wiedziała, gdyż małżonek wyznał to później, gdy musiał wziąć chłopca na wychowanie), z zemsty żona wyruszyła w krótką podróż, z której przywiozła w łonie nasienie - załazek mego ojca.

Uchodząc za prawowitego potomka, najmłodszy z rodzeństwa wychowywał się wśród pozostałych dzieci, lecz nigdy nie potrafił okazywać im miłości ani wzbudzić ich uczucia. Od małego przywiązał się za to do Kryka, który był dlań kimś więcej niż ojcem. Babka nie była złą kobietą, toteż stwierdziwszy, że wystarczająco zemściła się na mężu, porzuciła pomysł, by jej przyszywany syn został kapelusznikiem i zgodziła się wysłać go do Monachium na studia medyczne.

Student coraz rzadziej odwiedzał majątek w Omsku. Kilkakrotnie spędził w nim wakacje jedynie z chęci przebywania w towarzystwie małego Fetha, którego miłość wynagradzała mu obojętność pozostałych domowników.

Gdy chłopiec skończył dwanaście lat, Kryk poprosił, by powierzono mu jego edukację, na co babka chętnie przystała, gdyż nigdy nie czuła do najmłodszego syna sympatii. Nie żeby krępował ją jako żywe wspomnienie zdrady - wbrew temu, co twierdził jej mąż, ta lubiąca sprawiedliwość i porządek niewiasta uważała swój wybryk za słuszny odwet - lecz, tak jak Kryk, Feth był w jej oczach bękartem, kimś obcym w rodzinie, której częścią stać się nie mógł nigdy.

Tak więc ojca wychował w Niemczech pseudoprzyrodni brat, który bardzo wcześnie odkrył przed nim podstawy medycyny, zachęcając, by podjął w tej dziedzinie poważne studia.

Kryk został wielkim uczonym, a ojciec jego asystentem. Nie będę się rozwodzić nad głęboką przyjaźnią łączącą obu mężczyzn. Aż do przedwczesnej śmierci starszego żaden nie związał się z kobietą. Żyli dla nauki, w idealnym porozumieniu zawodowym i rodzinnym.

Feth z trudem pozbierał się po śmierci ukochanego mistrza. Dziesięć lat później, gdy jako czterdziestolatek został członkiem Akademii, poślubił córkę księcia Milowskiego, który - w zamian za znane i zwiastujące fortunę nazwisko - ofiarował mu szlachectwo.

Jeśli o mnie chodzi, moje przyjście na świat zabiło matkę.

Ojciec wolał nie żenić się powtórnie. Podczas gdy do młodej żony żywił jedynie uczucie pospolite, dziecku ofiarował miłość bezgraniczną. Gdy dorosłam, stałam się jego jedyną towarzyszką w czasie wolnym od pracy.

Pamiętam piwiarnię w Monachium, do której często chadzaliśmy wieczorami. Był to budynek trzypiętrowy. Na ostatnim spotykały się osoby z towarzystwa, ale my woleliśmy parter, gdzie przy długich stołach w dymie cygar zbierał się lud. Rozmowy i śmiechy przeplatały się z muzyką, której nie szczędziła wiedeńska orkiestra. Goście dzielili się przyniesioną ze sobą kiełbasą, soczewicą i zupą z kluskami. W ucztach uczestniczyli także kelnerzy. Mieszaliśmy się z tłumem stałych bywalców, pijących z ozdobionych herbami własnych kuflów z przykrywką, elegantszych niż używane przez lokal. Niektórzy mężczyźni bez trudu wlewali w siebie do pięciu litrów. Powodzeniem cieszyły się więc pisuary. Kręta, zmatowiała ścieżka wydeptana przez buciory piwoszy na lśniącej posadzce wytyczała kierunek „toalet”.

I właśnie na zapleczu sali biesiadnej zdarzyło się nieszczęście, dzięki któremu całe Niemcy dowiedziały się o nadzwyczajnym talencie mego ojca - specjalisty od schorzeń mózgu, a przede wszystkim chirurga i inżyniera mechaniki precyzyjnej.

Siedzący przy naszym stole młody handlowiec padł ofiarą strasznego wypadku. Gdy sławetnej nocy udał się „na stronę”, uwagę zebranych przykuł głośny rumor. Znalaziono go w kałuży krwi z głową strzaskaną o porcelanowy brzeg pisuaru. Feth, mój ojciec, pobiegł na ratunek. Rannego przewieziono do szpitala, gdzie stwierdzono, że poważnemu uszkodzeniu uległa nie tylko czaszka, ale i jej cenna zawartość.

Muszę zdradzić - ciągnęła Essentielle - że od kilku lat ojciec pracował w tajemnicy nad skonstruowaniem mechanicznego mózgu. Gdy współpracujący z nim lekarze czuwali nad umierającym, podtrzymując go przy życiu dzięki danym przez mistrza wskazówkom, ojciec poświęcił trzy dni i trzy noce na zbudowanie własnymi rękoma sztucznego mózgu, stanowiącego owoc teoretycznych badań, które mógł wreszcie wykorzystać.

Zainstalowanie go wymagało dwudziestu ośmiu godzin, wprowadzenie w ruch - jedynie sześciu, najbardziej dramatycznych, minut. Mechanizm zdawał się funkcjonować znakomicie, trzeba było jednak poczekać tydzień, nim świat nauki dowiedział się o sukcesie bezprecedensowej operacji.

Tak oto odratowany został monachijski handlowiec, piwosz i miłośnik parówek na gorąco. Wdzięczność, jaką okazał ojcu, przekroczyła wszelkie granice: rozwiódł się, porzucił dzieci, sprzedał za bezcen należące doń sklepy, po czym bez grosza zjawił się u nas, błagając wybawcę, by przyjął go jako najpodlejszego sługę.

Essentielle płakała. Poprosiła towarzysza pracy o wybaczenie, dodając, że to głupota wzruszać się przeszłością. Widząc, że oczy słuchacza płoną ze współczucia i ciekawości, dodała:

- Powiem krótko. Handlowiec wciąż mieszka pod moim dachem. Przed śmiercią ojciec powierzył mi swe dzieło, błagając, bym, póki życia starczy, otoczyła go opieką. Przysięgłam mu to. Od sześciu lat mechaniczny mózg szwankuje. Zrobiłam wszystko, by temu zaradzić. Bez skutku. Kiedyś byłam krawcową, podjęłam studia w nadziei, że zdobędę wystarczającą wiedzę, by sama zbadać słabnący mechanizm. Chwila ta się zbliża. Wyjeżdżam z chorym do Anglii. Pojedzie pan ze mną? Pomoże mi pan?

Rozdział czwarty

Towarzysz Essentielle bez wahania podążył za nią do Anglii. Pojechałby wszędzie, choćby był ojcem rodziny i hydraulikiem, a nie doktorem.

Wciąż nic nie wiedząc o małżeństwie swej wybranki, zdziwiony, że ta zdaje się nie spostrzegać jego uczucia, podejrzewał, że ślubowała uczuciową oziębłość, by całą energię poświęcić nauce. Nie tracił jednak nadziei, że kiedyś, gdy Essentielle pozwoli sobie na więcej swobody, uda mu się ją złamać. Mając się za człowieka nie całkiem uczciwego, czy raczej sprytnego i śmiałego, wierzył, że, żyjąc u boku ukochanej, jak wszystkie kobiety ulegającej chandrze i znużeniu, wykorzysta moment słabości, by ją uwieść. Ciąg dalszy pokaże, że szlachetny ów młodzian nie znał sam siebie.

Essentielle od razu zaczęła szukać nowego lokum. Angielska agencja mająca pośredniczyć w kupnie znalazła dom w Wigan, w hrabstwie Lancashire, przemysłowym miasteczku nad rzeką Douglas. Prócz pięciu pokoi miał spory warzywnik, pralnię, gołębnik, przemienioną w mleczarnię suterene oraz ministajnię. Niedaleko na północ był Liverpool, na zachód Manchester, do morza tylko kilka kilometrów - emigranci się nie znudzą, a spokój będzie sprzyjał pracy i odpoczynkowi.

Essentielle przygotowała wyjazd, dając dowód zmysłu organizacji, który ostatnio ją cechował. Niczego nie zaniedbała. Przewidując, że pokrywa mózgu eksuczonego będzie przyciągać spojrzenia, zakryła ją neutralnego koloru kominiarką, która co najwyżej mogła wywołać zdziwienie, że przy wysokich o tej porze roku temperaturach jej właściciel boi się przeciągów. W celu zajęcia uwagi chorego kupiła lornetkę, pozwalającą na podziwianie szczegółów pejzażu przez szybę pociągu czy okienko kajuty. Nie chcąc tracić czasu, zapakowała do skórzanej torby kilka naukowych książek oraz notatki z ostatnich lektur, które zamierzała po drodze omówić ze współpracownikiem.

Podczas podróży pociągiem do Dieppe, mimo że Essentielle włożyła w ręce emeryta nową lornetkę, ten zachował pełną obojętność wobec wszystkiego wokół. Przyciągał spojrzenia raczej posągowym bezruchem, wyróżniającym się na tle entuzjastycznych ruchów sąsiadów. Wiecznie

malującą się na jego obliczu melancholię brano z pewnością za zrozumiały niepokój człowieka delikatnego zdrowia.

Przez pierwszą godzinę przeprawy pogoda była wspaniała. Choć nigdy nie opuściła Paryża*, Essentielle nie omieszkała wyznać współpracownikowi, że „nawet Bałtyk, po którym często w dzieciństwie pływała, nie dostarczał tak niezwykłych widoków”.

Na pokładzie rosyjscy turyści, członkowie klubu Morze Północne, śpiewali chórem przy dźwiękach mandolin. Tak byli zajęci zabawą przy muzyce w gronie rodaków i tak stłoczeni ze strachu, by się nie pogubić, że dziwna obecność eksuczonego uszła ich uwadze.

Drugą grupę stanowiła młodzież obojga płci i najróżniejszych narodowości. Z pewnością należeli do LZLZ, czyli Ligi Zbliżenia Ludów Zachodu. W odróżnieniu od Rosjan i ku rozpaczy instruktora bez przerwy się rozbiegali, wdrapywali na co się dało, spacerowali po trapach, wspinali na kominy, co chwila ryzykując życiem. Szczęśliwie, zbyt spragnieni coraz to nowych zagrożeń, nie interesowali się miejscem, gdzie małżonek Essentielle siedział na zwoju lin, ze skrzyżowanymi rękoma i melancholijnym wzrokiem utkwionym w morzu. Znieruchomiały, z lornetką tkwiącą w bezwładnych rękach, przypominał marionetkę, która zepsuła się przy wykonywaniu ostatniego grymasu.

Wśród pasażerów podróżujących nie w grupie były dwie identycznie ubrane, prawdziwe portugalskie bliźniaczki w wieku dojrzałym. Nie zawsze występowały razem, toteż pod koniec podróży Essentielle zastanawiała się, czy rozmawiała kolejno z każdą z nich, czy też kilka razy pod rząd z tą samą.

Owe znudzone i niedyskretne kobiety z dużą wprawą potrafiły wywachać wszystko, co odbiegało od normy. Dziwna nieruchomość eksuczonego oczywiście nie umknęła ich uwadze. Nie spuszczały zeń oczu, rozmawiając półgłosem to z podnieconymi, to ze współczującymi minami. Po godzinie, nie mogąc dłużej wytrzymać, jedna z nich zdecydowanym krokiem podeszła do Essentielle dowiedzieć się, jakie to nieszczęście spotkało jej towarzysza. Nie znając francuskiego, zwróciła się w swym rodzimym języku.

* W ferworze opowieści autorka zapomniała o normandzkim epizodzie w życiu Essentielle (przyp. tłum.).

A że małżonka chorego nie rozumiała, bliźniaczka pobiegła po rodaka, który utrzymywał, że przez kilkanaście lat mieszkał w Paryżu.

Zostawszy sama na pokładzie, gdyż współpracownik cierpiał na chorobę morską, Essentielle musiała uciec się do opowiedzenia następującej historii, którą Portugalczyk tłumaczył kawałkami i w miarę swych możliwości.

- Ten nieszczęśnik jest moim starszym bratem - zaczęła. - Mój dziad...

- To pani dziadek - rzekł tłumacz, który od początku zdradzał dla jej opowieści wielkie zainteresowanie.

- Mój dziad był biednym islandzkim rybakiem, pochodzącym z Dyrholaru. Nie był wykształcony, ale inteligentny i niezależny, toteż cierpiał, że jego kraj nie jest niepodległy. Wiedzą panie z pewnością, że Islandia, połączona od 1261 roku z Norwegią, w 1537 roku znalazła się z nią pod panowaniem Danii...

- Jest Duńczykiem od 1537 roku - przełożył tłumacz.

- Choć nasza wyspa uzyskała w 1918 roku całkowitą autonomię, stając się królestwem podległym temu samemu władcy co Dania, duch buntu kazał dziadowi wyemigrować z całą rodziną do Bretanii. Ojciec, który miał już wówczas lat piętnaście...

- Pani dziadek miał piętnaście lat - poinformował Portugalczyk.

- Ojciec miał w chwili emigracji piętnaście lat. Uleglejszy od swego ojca, zbyt kochał krainę mgieł, wulkanów i gejzerów. Poza tym, zostawił w niej dziewczynę, którą pragnął uczynić małżonką. Toteż, osiągnąwszy pełnoletność, porzucił rodzinę i wrócił do Dyrholaru. Jednak pod jego nieobecność dziewczyna wyszła za mąż. Ojciec tak się czuł rozczarowany, że z gniewu poślubił mieszkającą w tej samej wsi, nie najmłodszą już i wyśmiewaną przez wszystkich kobietę.

- Nikt go nie chciał, bo nie lubił angielskich wulkanów - z powagą wyjaśnił tłumacz.

- Bez wątplenia nieutulona jeszcze rozpacz, a także wstręt, jaki czuł do żony, legły u zarania nieszczęścia. Może też wiek mojej matki... choć nie sędzę, bo dalsze wypadki pokazały, że nie on był przyczyną. W każdym razie ze związku narodziło się nienormalne dziecko.

- Wstręt, jaki mu okazywano, spowodował, że stał się nienormalny - pewnym siebie głosem wtrącił pospiesznie Portugalczyk.

Od jakiegoś czasu zmienił się kolor morza i po wzburzonej powierzchni wody gnały wysokie fale. Niebo było na jego podobieństwo: niespokojne, groźne, szalone. Statek jakby przyspieszył, by stawić czoło burzy. Wiatr dał z taką siłą, że pasażerowie z trudem utrzymywali się w pozycji pionowej.

W chwili gdy Essentielle miała kontynuować opowieść, głośnik zawiadomił podróżnych, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, ale lepiej, by włożyli kamizelki ratunkowe. Zapanowała panika, zręcznie jednak opanowana przez doświadczoną załogę. Rosjanie, chcąc towarzystwo rozerwać, zaintonowali chórem dziarską wojenną pieśń. Stłoczona nagle wokół opiekuna młodzież, zielona z zimna i strachu, brawurowo oddała się drobnym czynnościom. Chłopcy powyjmowali z kieszeni to gwizdki, to scyzoryki, dziewczęta zagłębiły się w lekturze pisemek.

Co do eksuczonego, to gdyby nie podniesiono go siłą, nie ruszyłby się ani na milimetr: ubrany w kamizelkę, zaraz zasiadł z powrotem na zwoju lin. Któraś z portugalskich dam zaofiarowała Essentielle pomoc, gdyż opowieść - choć w przekładzie - wzruszyła ją bardzo.

Nieco później statek zatrzymał się, by można było naprawić drobną awarię silnika. Nie pozostało to bez wpływu na morale pasażerów. W końcu zgromadzili się w salonie, gdzie za pomocą gestów kapitan odgrywał morskie katastrofy, których był bohaterem.

Leżąc blady na ławce, współpracownik Essentielle masował sobie żołądek i nie był w nastroju, by uczestniczyć w ogólnej wesołości. Jasne nordyckie włosy, zmatowiałe przez chorobę, spadały w nieładzie na wymęczoną twarz. Zziębnięty, nękany czkawką, nie zwracał najmniejszej uwagi ani na Essentielle, ani na „monachijskiego handlowca”.

Ten siedział teraz na krześle, kiwając się na wszystkie strony, bierny, podobny do rzucanego przez fale rozbitka, wpatrzony przed siebie, jakby nadal obserwował morze, ściskając w nieszczęsnych dłoniach niepotrzebną lornetkę.

Jedna z bliźniaczek, może wciąż ta sama, podeszła w towarzystwie usłużnego rodaka do Essentielle i gestami poprosiła, by dokończyła historię.

*

- Nedorozwinięty chłopiec rósł pod skrzydłami rodziców - podjęła małżonka eksuczonego.

- Jednak dobry był z niego syn - bez przekonania bąknął Portugalczyk.

- Choć żyli w ubóstwie, moi rodzice stawali na głowie, by zapewnić mu opiekę i osłodzić nieuniknioną samotność.

- Chłopiec lubił samotność... - wyjaśnił tłumacz, który, dotąd sceptyczny, nagle się rozpromienił. - A że matkę miał niemłodą, a ojca w depresji, więc ich porzucił. Nie lubił angielskich wulkanów, toteż poślubił wiejską dziewczynę, która czekała nań od dawna.

Portugalska bliźniaczka zdecydowała się wtrącić:

- Z pewnością chodzi o wieś w Danii - rzekła w swym języku. - Hobro, Aars, Nibe lub Struer. Jedna z moich ciotek wychowała się na wyspach Feroe, a dokładnie na Sandoe. Jej ojciec był oficerem w służbie czynnej, przeprowadzali się więc bez przerwy od garnizonu do garnizonu. Aż stryjeczna babka zaraziła się chorobą kolonialną i musieli czym prędzej wracać do Portugalii.

- Wyzdrowiała? - spytał Portugalczyk, szczęśliwy, że konwersuje w ojczyściej mowie.

- Niestety, lecz tak osłabła, że ciotka odrzuciła najlepsze partie, by pielęgnować matkę.

Essentielle cierpliwie poczekała, aż skończą, po czym ciągnęła dalej:

- Niepokój o niedorozwiniętego syna i opieka nad nim zbliżyła rodziców. Zapomniawszy o dawnych nieszczęściach, ojciec poczuł do leciwej żony tak wielkie przywiązanie, że zapragnął mieć z nią drugie dziecko. Temu późnemu uczuciu zawdzięczam narodziny.

- Potem urodziła im się córeczka! - wyjaśnił rodak, klaszcząc w dłonie.

- Brat miał wówczas trzynaście lat.

- Miała trzynaście lat... - przełożył, znów zbity z tropu.

- Nie mógł służyć mi w życiu za przewodnika. Szybko to zrozumiałam i choć byłam za młoda na taką ofiarność, wzięłam go pod opiekę ku wielkiej uldze rodziców, którzy mogli umrzeć w spokoju.

- Ale umarła... - smutno zakończył opowieść Portugalczyk.

Gdy Essentielle dodała, że od lat jeździ po świecie w nadziei znalezienia lekarza, który uratuje brata, portugalska dama, nie czekając na tłumaczenie, z płaczem rzuciła się jej w ramiona.

Okienka salonu migotały, rześńskie opryskiwane przez bryzgi fal. Za mgłą rysowała się już jednak szara i kręta linia, falująca w rytm kołysania się statku. Zbliżali się do brzegów Anglii.

Tymczasem kapitan, wyczerpawszy zapas morskich opowieści, próbował zachęcić pasażerów do tańca w takt kaukaskiej melodii. Egzaltowany Rosjanin oderwał się od grupy i zrobił kilka kroków, za nim zaś podążyli dwaj angielscy marynarze, bezskutecznie próbując go naśladować. Wkrótce został sam na parkiecie, podskakując jak pchła, wykonując zawile piruety i przerzuty bokiem, podczas gdy jego rodacy pokrzykiwali gardłowo i wybijali takt.

Ukryta pod maską twarz męża Essentielle zaczęła przejawiać pewne zainteresowanie. Czy to kołysanie statku poruszyło w rytm muzyki sztywne kolano, czy kaukaskie dźwięki w tajemniczy sposób dosięgły jakiejś części w jego wnętrzu? Nikt nie zwracał nań uwagi. Nawet portugalska dama - zawsze ta sama lub za każdym razem inna - zaspokoiwszy ciekawość, uszczęśliwiona i pełna wrażeń, przestała mu się przyglądać.

Rozdział piąty

Przed udaniem się do Wigan podróżnicy chcieli poznać kraj, w którym mieli zamieszkać. Zwiedzili więc Londyn, a w nim pochodzącą z normandzkich czasów wieżę służącą za miejskie więzienie, mieszczkańskie i arystokratyczne dzielnice West-End, Hyde Park i Regent's Street, opactwo Westminster oraz rozciągający się aż do ujścia Tamizy port, niemający sobie równych pod względem wagi przeprowadzanych transakcji. Obejrzelizwodzony most między dwoma zamkami z mnóstwem wieżyczek, elegancki Parlament ozdobiony licznymi pinaklami, teatr Szekspira w Stratford oraz, rzecz jasna, uniwersytet w Oksfordzie.

Essentielle z trudem ciągnęła za sobą ciężkie, bezwładne ciało eksuczonego. Od początku podróży jego stan odrętwienia zdawał się potęgować, tak że był niezdolny do wykonywania najprostszych gestów. Gdy zatrzymywali się w parku na odpoczynek, trzeba go było sadzać na ławce, a potem podnosić. By ruszył z miejsca, musieli go kilka metrów popychać jak starą maszynę, jak motocykl, którego motor wprawia koła w ruch tylko wówczas, gdy pomoże się im przy pierwszych obrotach. W restauracjach trzeba go było karmić, inaczej nie jadłby nic. Chcąc przypodobać się Essentielle, zadanie to wziął na siebie współpracownik.

Próbując małżonka czymś zainteresować, Essentielle nabyła kilka przewodników, z których czytała mu na głos przed każdą wycieczką. Chory pozostawał jednak apatyczny. Ożywił się tylko raz. Było to w restauracji wykwintnego hotelu w Londynie, gdzie wesola kobieca orkiestra odziana w buty z wysokimi, miękkimi cholewkami grała cygańską muzykę. Wówczas bez wątpienia coś się w nim przełamało. Musnął go jakby silny powiew, rozbudzając od środka. Dla niego samego chyba niepostrzeżenie owładnęło nim coś na kształt wzruszenia, tak nietypowego dla jego poważnej osoby.

Pewnego bardzo mglistego dnia, który miał być ostatnim dniem ich pobytu w angielskiej stolicy, gdy szli w trójkę w górę Tamizy, spotkali parę akrobatów w towarzystwie przebranej za Kozaka małpy. Zgrabnie skrojone w kolorowym papierze ubranko rozdzierało się przy każdym ruchu, tak że spod

spodu wyglądał zrobiony na drutach sweterek, chroniący przed zimnem i świadczący o trosce właścicieli.

Mężczyzna, którego głowę wieńczył zielonkawy cylinder, udawał, że gra na skrzypcach. Nosząca takie samo nakrycie głowy śniada, wychudzona kobieta uderzała w blaszaną puszkę, chcąc zachęcić zwierzę do tańca. Przykucnąwszy ze skrzyżowanymi na piersiach łapami, małpka usiłowała wykonać znany krok rosyjskiego tańca, polegający na wyrzucaniu przed siebie to jednej, to drugiej nogi. Plącząc się w dziurach za dużej burki, co chwila upadała do tyłu, za co dostawała od pana smyczkiem. Był to niecodzienny i zabawny widok, z tych, co to się zapisuje w dzienniku podróży, lecz Essentielle zbyt przejęła się apatią zwierzątka, by chcieć się zatrzymać. Zmieniła jednak zdanie, spostrzegłszy, że widowisko zdaje się sprawiać eksuczonemu przyjemność, a w każdym razie wytrąca go ze stanu uśpienia i powoduje, że zaczyna w takt dźwięków bezładnie podrygiwać.

Gdy współpracownik rzucił do pilśniowego kapelusika małpki kilka monet, grupa zdwoiła wysiłki, co z kolei zdopingowało męża Essentielle. Mimo sztywnego kolana zaczął naśladować ruchy zwierzęcia, które, zachęczone gorliwością ucznia, ani myślało o odpoczynku. Z mgły wynurzyło się kilku zwabionych hałasem gapiów i otoczyło tancerzy skaczących wśród stert starych skrzynek.

Essentielle i współpracownik wymienili pełne niepokoju spojrzenia. Nie mogli pojąć, co z naukowego punktu widzenia może znaczyć to nowe, jakże zaskakujące zachowanie mężczyzny w miedzianym hełmie. Essentielle, która po niedawnych doświadczeniach okresu górniczego była przygotowana na nowe niespodzianki, udawała, że się zastanawia, podczas gdy współpracownik stwierdził, że część mechanicznego mózgu chorego, prawdopodobnie koordynujący ruchy mózdzek, zaczął znów funkcjonować, tyle że w anormalny sposób.

Gdy się naradzali, uczone - niczym rozszały, świeżo naprawiony automat - dał się zwieść mgłę, zbyt zbliżył do brzegu i wpadł do Tamizy tuż obok holownika.

Nastąpiła chwila konsternacji. Tancerza natychmiast pochłonęły białe opary. Chcąc zapobiec tragedii, kilku marynarzy i współpracownik zaczęli się pospiesznie rozbierać, by ruszyć z pomocą, gdy do wody wskoczyła w ubraniu stojąca dotąd wśród gapiów staruszka z przywiązanymi mocno na plecach dwiema wypchanymi paczkami. Ktoś na ślepo podał jej żerdź, którą

musiała zręcznie chwycić, bo niebawem wynurzyła się z przerzuconym przez pakunki ciałem. Podczas gdy otoczony współczującym i biernym tłumem współpracownik usiłował na brzegu reanimować „monachijskiego handlowca”, stara wyjęła z kieszeni buteleczkę i pociągnęła zdrowy łyk czegoś, co wyglądało na alkohol. Z innego zakamarka wyciągnęła zardzewiałą blaszaną puszkę, wyskrobała szczyptę tabaki i wsadziła sobie do nosa. Po czym, ułożywszy na plecach ociekające wodą paczki, podeszła do Essentielle i zaproponowała, by zemdlnego tancerza przenieść do jej stojącej nad brzegiem chatki, odległej - jak twierdziła - o trzysta metrów.

Tymczasem pojawiła się nowa trudność. Gdy tylko spróbowano podnieść ocalałą ofiarę, wstrząśnięta wypadkiem małpka wczepiła się w jej ubranie. Oplótnięty łapkami szyję nieprzytomnego mężczyzny, pocierając czarne wargi o „twarz muśniętą smutkiem”, wrzeszczała przy każdej próbie rozdzielenia z nowym przyjacielem. Chcąc ją uciszyć, postanowiono, że do chwili, gdy chory odzyska przytomność, co - zdaniem wszystkich - z pewnością zwierzę uspokoi, cała trupa uda się wraz z cudzoziemcami do domu starej.

Barak sklecony był z burych, przesiąkniętych wilgocią desek. Choć wyrwane zawiasy zastępował sznurek, w celu otworzenia drzwi starucha wyjęła potężny klucz, który włożyła w dziurkę kłódki.

Niemal całe wnętrze zajmował wielki żelazny piecyk z dziwnie wykrzywioną rurą. Na pięciu półkach wiszącej nad ogniem szafki suszyły się najróżniejsze resztki jedzenia, starannie od siebie pooddzielane, tak jak gruszek nie kładzie się razem z pomidorami w normalnej kuchni. Były tam obierki kartofli, skórki cytryn i pomarańcz, ogonki wiśni, ćwiartki starych jabłek, głąby kapust i sałat, a także trudne do określenia, zapewne egzotycznej proveniencji odpadki o słodko-kwaśnym zapachu. W kącie trzy wory z juty, podobne do tych, które stara nosiła na plecach, duże i pękate, w półmroku wyglądały jak ludzkie sylwetki.

Wprowadziwszy gości i nakazawszy położyć ciało eksuczonego na stercie służących za łóżko desek, spośród zdobiących półki suchych resztek stara wybrała ze dwadzieścia składników i zaczęła rozcierać w moździerz.

Gdy „rosyjski tancerz” otworzył wreszcie oczy, zupa była gotowa, parująca i bezwonna, podana w puszkach po konserwach, siedmiu, bo nie zapomniano o małpce. Widząc, że współpracownik karmi „piwosza”, zwierzę nie dało za wygraną, aż pozwolono mu go zastąpić. Pacjent nie protestował.

Essentielle z radością ujrzała na jego bladym obliczu ledwie dostrzegalny błysk zadowolenia, którego nie wywołał nawet taniec.

Po posiłku wszyscy dalej siedzieli na ziemi wokół piecyka. Było ciepło, zapadała noc, z dali dochodziły tłumione przez mgłę odgłosy wypływających statków i cichnącego rozgardiaszu zasypiającego tuż obok portu. Od czasu do czasu ktoś krzyczał i nie było wiadomo, czy to zabawa, czy wołanie o pomoc.

Nie zdejmując kapeluszy, zmordowani akrobaci wyciągnęli się na worach. Małpka usnęła w ramionach właściciela miedzianego czoła, który na nowo wpadł w apatię i siedział ze wzrokiem utkwionym w ścianę chatki.

Zapaliwszy świecę, zażywszy parę razy tabaki, gospodyni stała się rozmowna i zapragnęła opowiedzieć swą historię. Jej głos brzmiał łagodnie i dystyngowanie, mówiła cicho, by nie zbudzić śpiących.

- Musicie wiedzieć, że jestem Francuzką - wyznała w rodzimym języku.
- Dzieciństwo spędziłam jednak w Londynie, gdzie zamierzam też umrzeć.

Po skończeniu gimnazjum i powrocie do Francji zaręczono mnie z przyszłym lekarzem, który - jak chodziły słuchy - zdumiewał profesorów intelektem. Nikt nie wątpił, że młodzian ów zostanie wybitnym uczonym. Zresztą jeszcze przed ukończeniem studiów szczyił się ujawnieniem sekretów ludzkiego ciała, o których odkryciu jego starsi koledzy nie mieli co marzyć nawet u schyłku życia.

Oczywiście, że byłam bardzo młoda i wolałabym sama wybrać męża, pociągającego raczej wyglądem niż rozumem. A jednak, choć urodą nie grzeszył, gdy tylko go ujrzałam, nie pozostałam obojętna na jego urok.

Pierwsze dziesięć lat małżeństwa były tak szczęśliwe, że mimo późniejszych wypadków wspominam mego towarzysza życia z szacunkiem i wdzięcznością.

Miał właśnie skończyć trzydzieści pięć lat, a jego sława rosła coraz bardziej, gdy zakochał się w młodziutkiej kwiaciarce gruzińskiego pochodzenia i wdał w romans na tyle głośny, że groźny dla jego kariery. Za radą kilku przyjaciół wrócił do mnie, lecz tak rozbity i nieszczęsny, że z litości - bojąc się, że cierpienie zaszkodzi zawodowym sukcesom - namówiłam go, by sprowadził kochankę pod mój dach. Z początku

zamknęłam się w pokoju, płacząc całymi dniami i większą część nocy. Potem uznałam, że powinnam w nowej sytuacji okazać dumę, i zdecydowałam wyjść z kryjówki. Jakież było moje rozczarowanie, kiedy zobaczyłam, że w moim własnym domu i obowiązkach gospodyni zastąpiła mnie niewiasta tak odrażająco pospolita. Poczułam pogardę dla mężczyzny, który - mimo niecných postępków - wzbudzał dotąd mój podziw.

Stara wyjęła pudełeczko, pociągnęła kilka szczypt proszku, kichnęła dwukrotnie, oczy zaszyły jej łzami.

Akrobaci oddychali głęboko, rytmicznie i uspokajająco w ciszy, w której co jakiś czas rozlegał się przeraźliwy ryk syreny. Może od dawna nie spali w cieple? Małpka leżała z łapkami zwisającymi z nieruchomego ciała eksuczonego i pod pomarszczonymi powiekami zdawała się uśmiechać.

Gospodyni wstała, dorzuciła do piecyka połowę zawartości wora z juty, po czym, już z suchymi oczami, wróciła na miejsce.

- Znów zamknęłam się w pokoju - ciągnęła - i wzięłam na służbę kobietę, która wyglądała na dość inteligentną, by informować mnie o poczynaniach wiarołomnej pary. W ten sposób dowiedziałam się, że mąż wyjechał do górniczego miasta w Niemczech, gdzie zdarzyła się straszna katastrofa wywołana wybuchem metanu. Kazałam zaufanej służącej wkraść się w łaski rywalki, by dowiedzieć się czegoś więcej. Moja ciekawość została wkrótce zaspokojona.

Mąż udał się na miejsce wypadku, jak mi powiedziano, z miłości. Wyruszył podjąć próbę uratowania jedynej osoby, która przeżyła dramat: rodzzonego brata kochanki, górnik i, jak ona, Gruzina. Rana głowy, jaką ów człowiek odniósł, była jednak tak głęboka, że spodziewano się, iż niebawem dołączy do listy ofiar.

Choć nie opuszczałam mego pokoju, dochodził mnie szloch kwiaciarki, zajmującej drugi kraniec mieszkania. Czy oplakiwała brata na łożu śmierci, czy nieobecność ukochanego konkubina?

Mimo moich nalegań wierna pokojówka nie mogła niczego z niej wydobyć, toteż, gnana ciekawością, musiałam się uciec do bardziej bezpośrednich sposobów. Kazałam służącej spytać mego wroga, czy zechce przyjąć mnie u siebie. Choć prośba brzmiała jak dowcip, biedaczka tak jej nie odczytała. Zjednałam ją sobie zręcznie udawaną dobrocią i

wyrozumiałością, dzięki czemu już przy pierwszym spotkaniu zaczęła mi się zwierzać. Od tamtej chwili mogłam czytać listy, jakie mój własny mąż co dzień do niej pisał, i podsycać dobrze już utwierdzoną zazdrość, która miała zaprowadzić mnie daleko.

Interesowałam się też jednak zawartymi w korespondencji informacjami naukowymi. Mąż walczył o życie rosyjskiego górnika. Chciał skonstruować dlań urządzenie, które zastąpiłoby mózg, choć nie żywił wielkich nadziei, że mu się to uda. Poza tym, że kilkakrotnie próba się nie powiodła, za co błagał ukochaną o wybaczenie, nic więcej na ten temat nie wiedziałam. Z pewnością nie miał dostatecznie dobrego mniemania o tamtej kobiecie, by informować ją o fachowych szczegółach, których i tak by nie pojęła.

Na nadbrzeżu wybuchła kłótnia między dwoma pijanymi dokerami. Wywiązała się bójka. Słysząc było głucho uderzenia i hałas przewracających się o tuż obok pustych skrzyń. Nadchodził świt i w izdebce się ochłodziło, bo piecyk niemal wygasł. Stara wstała i poszła dorzucić do ognia.

Essentielle ze współpracownikiem z początku słuchali historii gospodyni jedynie z uprzejmości, lecz teraz nie kryli zainteresowania. Gdy tylko odwróciła się do nich tyłem, wymienili spojrzenia pełne napięcia i pytań, których nie mogli głośno wypowiedzieć. „Czy «monachijski handlowiec» był rzeczywiście jedynym na świecie przypadkiem? - zastanawiał się młody lekarz. - Z pewnością nie, skoro mąż tej nędzarki... Ciekawe, jak opowieść się skończy”. Essentielle, która nie wiedziała nic o przeszłości eksuczonego, też zachodziła w głowę. Tylko eksuczony leżał bezwolnie na deskach, a jego podłużną twarz - od kilku godzin jakby nieco mniej zboląłą - pieściła i pocierała obudzona od niedawna małpka.

- Robiłam wszystko - podjęła stara - by stać się dla gruzińskiej kwiaciarki niezbędna. Tak dobrze mi szło, że wkrótce odważyła się nazywać mnie starszą siostrą. Kiedy zachorowała, oczekiwała, że będę się nią bez ustanku zajmować, tak jak dziecko oczekuje ciągłej opieki matki. Przystałam na to z pewnym niesmakiem i wówczas właśnie wpadłam na pomysł, by ją otruć. Musiałam zmuszać się do działania powoli, by nie wzbudzić podejrzeń. Co dzień nieznacznie zwiększałam dawkę silnego leku, jaki jej przepisano. Mąż, zaniepokojony niedomaganiem kochanki, wpadł ją ucałować. Widząc, z jakim oddaniem czuwam u jej wezłowia, obdarzył mnie

tak wdzięcznym spojrzeniem, że przynajmniej tymczasem postanowiłam porzucić mordercze zamiary.

Wstawał dzień. Od jakiegoś czasu w porcie znów tętniło życie. Nieustanny zgiełk - nawoływania, zgrzyt wciągarek, głuche uderzenia spadających na ziemię paczek - mieszał się z łomotem deszczu o dach chatki. Śweczka zaczęła nagle dziwnie wyglądać we wdzierającym się przez zabłocone okienko szarym świetle. Akrobaci, zbudzeni, pocierali oczy i szykowali się do wyjścia. Małpka znów spała w ramionach eksuczonego, był to więc dobry moment, by ją bezboleśnie zabrać. Do wieczora z pewnością zapomni o spotkaniu, które tak bardzo ją poruszyło.

Przed rozstaniem wypili ciemny napar, składający się z rozcieńczonych wrzątkiem resztek z poprzedniego dnia.

Gdy właściciele małpki delikatnie podnieśli uśpione zwierzątko z piersi mężczyzny o miedzianym czole, ten, choć od tyłu dnia nie posługiwał się głosem, wydał dziki ryk, mogący być krzykiem protestu.

Rozdział szósty

Zatrzymywana przez chcącą dokończyć opowieść gospodynię trójka Francuzów zgodziła się spędzić u niej dzień, który zapowiadał się zimny i deszczowy. Essentielle i współpracownik byli zbyt dyskretni, by zadawać pytania, lecz marzyli tylko o tym, by zostać i dowiedzieć się o mężu nędzarki czegoś więcej.

- Ufam wam - powiedziała na wstępie. - Jaka mielibyście korzyść w zadenuncjowaniu kogoś, kto przyszedł wam z pomocą i kogo zbrodnia, choć może się wydać potworna, jest przecież całkiem zrozumiała?

Gdy młoda kwiaciarka prawie doszła do siebie, zaproponowałam, by pojechała wypocząć w odziedziczonym przeze mnie po matce majątku, leżącym w gęstym ardeńskim lesie. Kontakt z przyrodą z dala od trującej cywilizacji będzie dla jej zdrowia zbawienny. Zgodziła się z dziecięcą radością pod warunkiem, że będę jej towarzyszyć, nie wyobrażała już sobie bowiem rozstania. Kazałam się długo prosić, udając, że mam do załatwienia jakąś ważną sprawę, ale że nalegała, grożąc nawet, iż - nie bacząc na zdrowie - zostanie w mieście, dumna z podstępu, w końcu się zgodziłam.

Na wiadomość o tych planach mąż, uszczęśliwiony naszą przyjaźnią, ujrzał w nich tylko nowy dowód mego oddania.

Zabrałam ze sobą pokojówkę, którą przedtem obarczyłam misją śledzenia wiarołomnej pary. Chciałam mieć świadka opieki nad rekonwalescentką, a także wołałam, by służąca nie wykorzystwała mojej nieobecności na plotki.

Był środek zimy. Zmuszałam kwiaciarkę do długich spacerów po mrocznym, wilgotnym lesie, którego ścieżki, obsadzone trującymi grzybami i wyścielone gnijącą ściółką, zdolne były zabić delikatny organizm. Wiedząc, że jej choroba ma podłoże sercowe, opowiadałam podczas przechadzek o Renaud z Montauban, potworze o czterech łbach, czterech łapach i czterech mieczach, który z pomocą kuzyna Maugisa walczy zaciekle z Karolem Wielkim. Twierdziłam, że spotkałam w tej głuszy cesarza na czele armii rozkładających się trupów, z trudem pełznących po ziemi. Odziany był od

stóp do głów na białło, a obszerny płaszcz bez szwanku przenikał przez drzewa. Jedynie kropla krwi na nieskalanej brodzie wskazywała, że nie żyje jak tamci. Skinął na mnie. Wyciągnął dłoń, błagając o pomoc. Przemogłam strach, podeszłam i dotknęłam jego palców. Przejęło mnie uczucie tak straszne, że zemdlałam.

Rzecz jasna, dzięki mej szczególnej opiece stan chorej szybko się pogorszył. Chudła, wyraźnie cierpiała, drżała na najmniejszy szelest, widziała wszędzie złowrogie cienie i zalewała się łzami, ledwie niebo zapowiedziało nadejście wieczoru. Nie skarżyła się jednak nigdy, przekonana, że z wielkim oddaniem czuwam nad jej wyzdrowieniem. Często wręcz zarzucała sobie niewdzięczność i, uwieszona mego ramienia, z taką naiwnością prosiła o wybaczenie, że czasem, przyznając, wpędzała mnie w chandrę.

Wieczorami jadłyśmy kolacje, siedząc naprzeciw siebie przy masywnym kominku, w którym płonęły pnie dębu, jakich miałyśmy pod dostatkiem. Rozumie się samo przez się, że często wołałam służącą, by widziała, jak czule łączą nas stosunki. Potem niosłam chorą do łóżka, gdzie gwarzyłyśmy objęte, dopóki nie zasnęła. Gdy kochanka męża leżała tak do późnej nocy, a jej wilgotne, kruche palce ścisnęły moje, myślałam, jak się jej pozbyć.

Pewnego wieczoru wyznała, że wcale nie jest Gruzinką, lecz że pochodzi z Kaukazu*, krainy na pograniczu Europy i Azji, przeciętej łańcuchem gór dzielącym oba kontynenty. Opowiedziała mi o dzieciństwie w zimnych, surowych górach, gdzie uganiała się za stadami kóz. „Rodzice tylko tym się martwili - ciągnęła - że jedyny syn nie chciał się poświęcić zarządzaniu rodzinnymi zakładami naftowymi. Od dzieciństwa mój starszy brat zdradzał zamiłowanie do ludowych tańców. Chcąc jak najdłużej oszczędzić rodziców, dopiero gdy skończył osiemnaście lat, wyjechał do Moskwy zdać egzamin wstępny do Opery. Mijały lata, podczas których przychodzące regularnie listy donosiły nam, że odnosi sukcesy i że niebawem będziemy mieli powody do dumy. Niestety wkrótce matka umarła, a niedługo później poszedł w jej ślady ojciec. Bez męskiego wsparcia nie mogłam prowadzić rodzinnego przedsiębiorstwa. Brat musiał spieszyć wrócić i oddać się pracy, do której nie czuł żadnego powołania. Wystarczyło kilka miesięcy, by doprowadził do bankructwa dobrze prosperujący interes. Sprzedawszy za bezcen to, co ze spadku zostało, przyjechaliśmy do Francji z nadzieją, że znajdziemy zajęcie,

* Gruzja była dla bohaterów tej opowieści krainą tak egzotyczną, że trudną do umiejscowienia na mapie (przyp. tłum.).

które pozwoli nam przetrwać i zapomnieć o gorzkiej przeszłości. I tak zostałam w Paryżu wędrowną kwiaciarką. Brat, zrozpaczony, że musiał porzucić ukochany zawód, najął się w Niemczech jako górnik. Reszta historii jest znana...”.

- A teraz - starucha zmieniła ton - muszę iść do pracy. Jeśli chcecie pójść ze mną i mi pomóc, nie będę protestować. Szybciej się uwiniemy i będziemy mogli usiąść w cieple, by dalej z czystym sumieniem gawędzić.

Essentielle i współpracownikowi nie pozostało nic innego, jak przyjąć propozycję. Postawili więc eksuczonego na nogi i pociągnęli we mgle za sobą brzegiem Tamizy. Praca polegała na zbieraniu atrakcyjnie wyglądających śmieci i upychaniu do worów. Deszcz ustał. Mniejsza niż poprzedniego dnia mgła pozwalała widzieć na kilka metrów. Pokryta błotem ziemia była jednak tak śliska, że musieli bardzo uważać, by eksuczonego nie spotkała ta sama, co dzień wcześniej przygoda.

W pewnej chwili doleciały ich z dala dźwięki skrzypiec akrobaty i bębenka jego towarzyski. Z pewnością na drugim brzegu niewidoczna dla nich małopka tańczyła w pilśniowym kapelusiku i za dużej, czerwonej burce. Essentielle ogarnął niepokój. Co będzie, jeśli mąż usłyszy muzykę? Szczęśliwie jednak mężczyzna o miedzianym czole bez wahania szedł dalej. Był umazany błotem do pasa. Popychany przez żonę, kroczył z utkwionym przed siebie szklanym wzrokiem, aż do chwili, gdy, skończywszy pracę, wrócili do baraku starej.

Po złożonym z zupy posiłku zasiedli wokół piecyka. Gospodyni parę razy zażyła tabaki. Spomiędzy wypłowiałych szmat, w których głowa tkwiła aż po szyję, wyglądała blada twarz o niemal delikatnym owalu. Opuchnięte powieki ciążyły nad jasnobrązowymi oczami o niepozbanionym wdzięku spojrzeniu. Rzecz dziwna, jej nos był drobny i aż dziw brał, gdzie się podziewają wielkie ilości tabaki, jakie bez przerwy weń pchała. Włosów nie było widać, lecz bladość, czy raczej świeżość cery wskazywała na to, że jest blondynką. Ciało jej miało wałkowaty kształt, podobny do leżących wszędzie worów z juty.

Ze łzami w oczach po wielu kichnięciach, obcierając nos wierzchem dłoni, podjęła opowieść:

- Czas naglił. Musiałam działać, nim mąż, odniósłszy zwycięstwo bądź klęskę, niespodzianie przyjedzie do nas na wieś.

Utrzymywałam, że nocne powietrze jest w tamtych stronach wyjątkowo zdrowe. Chcąc zeń skorzystać, rekonwalescentka powinna przemóc lenistwo i przy pierwszej pełni podążać ze mną leśną ścieżką.

Tamtej nocy ubrałyśmy się ciepło. Na oczach pokojówki troskliwie zajęłam się garderobą rywalki, by nie zmarzła. Pamiętam, jak drżała pod futrem. Z pewnością ze strachu. Przyznała to zresztą ze śmiechem, dodając, że, wzięwszy mnie pod rękę, zaraz zapomni o obawach.

Wyruszyłyśmy, przykazawszy służącej, by czekał na nas żar w kominku.

Las był o tej porze złowrogi i magiczny. Promienie księżyca wieńczyły drzewa jedwabnymi woalami, których pianka, im niżej, tym bardziej ulotna, otaczała pnie aż do rozwidlenia konarów. Na wysokości człowieka panowała ciemność tak całkowita, że brnęliśmy na ślepo w gąbczastej masie liści.

Niemalże ciągnęłam za sobą kwiaciarkę, opadłą z sił i sparaliżowaną zrozumiałym strachem. Poczekiałam, aż będzie bliska omdlenia, by znów rozpocząć opowieść o Renaudzie z Montauban i Karolu Wielkim. Gdy poczułam, że chwieje się na nogach i obsuwa u mego boku, wykrzyknęłam, pewna, że krzyk ją ożywi: „Patrz! Patrz! Potwór o czterech łbach i czterech mieczach! Idzie do nas, ma miecze w dłoniach! Ratunku! Na pomoc!”.

Ciało chorej wyprężyło się na chwilę, próbując skryć w mych ramionach. Zobaczyłam, jak z mroku wynurza się pobladła twarz o ściągniętych rysach i oczach rozszerzonych strachem. Spadła jej czapka, długie włosy rozsypały i, gdy ją objęłam, by głębiej wbić nóż w plecy, poczułam, jak lodowate wargi składają mi na czole pożegnalny pocałunek.

Nieco poruszona, stara poszła podgrzać brunatną ciecz, której przepis był jej sekretem. Poczęstowała nią gości i, popijając, dokończyła opowieści:

- Pozostało mi ukryć trupa - oznajmiła. - Dobrze znałam las, bo spędzałam w nim każde lato, gdy studiowałam w Londynie. Miejsce zbrodni było w pobliżu tunelu, do którego wchodziło się przez ukrytą pod warstwą zbutwiałych roślin kłapę. Pamiętałam, że obok stał trafiony piorunem buk

oplatający skamieniałymi gałęzmi sąsiednie drzewa, łatwo więc znalazłam wejście do kryjówki. Bez trudu zaciągnęłam tam moją rywalkę, bo nie ważyła wiele. Drewniana kłapa roiała się od tłustych larw, które włożyły mi na twarz i ręce. Nie cofnęłam się jednak. Zarzuciłam sobie nieboszczkę na plecy i zstąpiłam w otwór, z którego buchało duszne powietrze, gorące i śmierdzące niczym oddech potwora. Miałam ze sobą latarkę. Zapaliłam ją przed dalszą drogą, zamierzałam bowiem ukryć kwiaciarkę jak najgłębiej. Po drodze mijałam wiele trupów. Inni też wpadli na pomysł ukrycia tu zakrwawionych przedmiotów swej nienawiści. Widziałam objęte pary, z pewnością samobójców z miłości, zwłoki niemowląt, których szczątki pieluch, za wielkich na drobne szkieleciki, błyszczały agrafkami, oraz samotników, siedzących, leżących bądź zwiniętych w pozycji embrionalnej. Nie ulegało wątpliwości, że nie byli całkiem martwi, gdy zabójcy pospiesznie ich tu wrzucili.

Szłam długo. Trupy były coraz rzadsze. Odszedłszy ze sto metrów od ostatniego śpiącego, zostawiłam moją rywalkę w odosobnieniu, w którym - miałam nadzieję - będzie cierpieć po wszechczasy.

Potem wróciłam tą samą drogą, opuściłam kłapę i przygniotłam ciężkim materacem liści.

Zdażyłam zrobić z dziesięć kroków, gdy na wiodącej do domu ścieżce ujrzałam znajomą sylwetkę. Rozpoznałam w niej służącą. Wpadłam w przerażenie. Stan moich rąk i ubrania, a także nieobecność towarzyszki z pewnością wzbudzą jej podejrzenia. Gdy podeszła do mnie, usiłując robić spokojne wrażenie, spytałam, dlaczego mnie szuka. Odpowiedziała, że zadzwonił właśnie pan, że zostawiła odłożoną słuchawkę i że mąż czeka przy aparacie. Skinęłam, by poszła przede mną. O nic nie pytała, byłam pewna, że pojęła wszystko i że umiera ze strachu.

Wróciwszy do domu, dowiedziałam się, że mąż odniósł sukces. Mechaniczny mózg działał już od sześciu godzin, gruziński górnik był uratowany. Powiedziałam, że kwiaciarka właśnie się kąpie, że nie mogę jej przeszkadzać i że nazajutrz wrócimy obie do Paryża.

W nocy udusiłam pokojówkę i starannie powiesiłam ciało na drzewie w parku. Nowa zbrodnia usunęła jedyne go świadka mych intryg, a jej inscenizacja uwiarygodniała wymyśloną przeze mnie wersję wydarzeń.

Mąż uwierzył w opowieść: „W zмовie ze służącą kochanka spotykała się z innym mężczyzną - wyjaśniłam, starając się mimo wszystko go

oszczędzić. - Przedwczoraj para uciekła, a skruszona dziewczyna położyła kres swym dniom”.

Obcierałam lzy człowieka, którego kochałam nade wszystko na świecie, lejąc własne z taką czułością, że zdobyłam go na nowo. Mój triumf był jednak krótkotrwały. Złamany zdradą kwiaciarki, nie przeżył szoku. Rok po tragedii skończył ze sobą.

Stara na kilka chwil zamilkła. Potem wstała, ostrożnie zdjęła ze ściany szafkę o pięciu półkach, wsunęła dłoń w otwór, jaki się pod nią ukazał i wyjęła złożony na czworo kawałek brudnego, wystrzępionego papieru, który przycisnęła do piersi.

- Zanim się zabił - rzekła - mąż sporządził testament, zapisując wszystko gruzińskiemu górnikowi, któremu uratował życie. A że ja tymczasem sprzedałam posiadłość w Ardenach i wydałam uzyskane za nią pieniądze, znalazłam się bez grosza. Po załatwieniu niezbędnych formalności musiałam opuścić mieszkanie, do którego miał się wprowadzić spadkobierca. Chciałam poznać owego człowieka i zapewnić o mojej sympatii, lecz notariusz mi to wyperswadował. Twierdził, że rekonwalescent cierpi na chorobliwą nieśmiałość, a ponadto, od momentu zmartwychwstania, cały czas pracuje, nie pozwalając sobie nawet na godzinną przerwę.

W nocy poprzedzającej wyprowadzkę ze ściśniętym sercem błądziłam po naszym mieszkaniu. Nie mogłam pogodzić się z myślą opuszczenia tych murów bez zabrania drobnej pamiątki, choć czułam skrupuły przed wzięciem czegoś, co już do mnie nie należało. Pomyślałam, że wyciągając na ślepo kartkę spomiędzy papierów męża, nie naruszę prawa tego, kto miał odtąd cieszyć się nielichym majątkiem. Wzięłam więc ten rysunek. Nie wiem, co przedstawia, ani ile jest wart, nie ma to jednak znaczenia, skoro jest mi droższy nad życie: tylko on mi został po moim nieszczęsnym mężu.

Mówiąc to, rozłożyła rysunek i pokazała gościom. Ci z największym trudem kryli zainteresowanie, był to bowiem bez wątpienia schemat sztucznego mózgu.

Siedzący w kącie eksuczony był jedyną osobą zupełnie niezainteresowaną szkicem, który - choć nikt jeszcze tego nie wiedział - był oryginalnym wykresem maszyny uśpionej pod jego czaszką. Ukryty pod maską stale towarzyszącego mu smutku, ze wzrokiem utkwionym w jedy-nym okienku chatki, zdawał się nie widzieć nawet przesuwających się cieni portowych robotników.

Rozdział siódmy

Podróżni wreszcie się pożegnali. Essentielle ze współpracownikiem - nie mogąc wcześniej przy gospodyni zamienić słowa - odbyli w pubie, gdzie zamówili jajka na bekonie, długą rozmowę. Essentielle uważała, że źle postąpili, nie oferując starej pieniędzy w zamian za cenny dokument. - Możemy to jeszcze zrobić - zaproponowała. - Nic nie stoi na przeszkodzie, byśmy wrócili do chatki i skusili nędzarkę. Jej towarzysz dodał, że „nie wyrządzą tym nikomu krzywdy”. Posiliwszy się nieco, znów ruszyli więc w stronę doków. Lecz, gdy zbliżali się do zbitego z desek baraku, współpracownik, który po drodze sprawę raz jeszcze przemyślał, przekonał Essentielle, iż plan sztucznego mózgu innego niż ten, który ich interesuje, nie może wiele pomóc, a nawet istnieje niebezpieczeństwo, że ich zmyli i spowoduje, iż popełnią nieodwracalne błędy.

Essentielle dała się przekonać tak łatwo, że wiele osób słusznie by jej reakcja zdumiała. Bo jak żona eksuczonego, która w imię szlachetnego celu poświęciła życie nauce i dotychczas na drodze do sukcesu nie zaniedbała niczego, mogła bez wahania przyjąć argumenty dwulicowego współpracownika? Czy naprawdę mu uwierzyła? Wszystko wskazywało raczej na to, że ta kobieta o biernej naturze, której ulegała zbyt długo, w chwili słabości poddała się losowi.

I tak z lekkim sercem ruszyli do Wigan.

Była to ładna posiadłość o trójstopniowym dachu krytym łupkiem. Wszystkie okna ozdobił barwinek bądź melisa, pierwszy symbolizujący zaufanie, druga - energię. Essentielle wiedziała to, bo w dzieciństwie lubiła posługiwać się językiem roślin. W ogrodzie rósł dywan z barwinka. Toiny te, jak powszechnie wiadomo, są symbolem melancholii. Widząc je, małżonka eksuczonego nie mogła powstrzymać się przed porównaniem ich do tak samo błękitnych i mrocznych oczu, dla dobra których opuściła ojczyznę.

Wpierw zajęła się zapewnieniem mężowi wygody, potem - znalezieniem rozrywek. Spostrzegłszy, że nie gardzi dowodami uczucia małpki, doszła do wniosku, że lubi zwierzęta. „Czy zresztą - myślała ze ściśniętym sercem,

coraz bardziej wierząc w dotyczące przeszłości mrzonki - nie zabierał mnie w niedzielę do zoo?”. Nabyła więc klatkę i dwie ptasie pary: wspaniałe lirogony i trogony.

Tylko trogony były godne swych ogonów. Pióra tych królewskich ozdób tworzyły pęk zielonych mieczy, krótkich po bokach, bardzo długich na przedłużeniu grzbietu. Tułowia i głowy były w tym samym odcieniu zieleni, łby przypominały jedwabne pompony, a ich wdzięk stanowił przeciwieństwo siły dzioba, ukrytego w puchu koloru trawy. Całość była niczym uszyte z jednego kawałka ubranie włożone na kamizelkę z krwistego zamszu.

Pozbawione zbudowanych jakby z trzech różnych materii ogonów, lirogony przypominałyby kurki wodne i to całkiem pośledniej urody. Ogony, na jakie wcale sobie nie zasłużyły, składały się z symetrycznych części, leżących na kurtynie z delikatnych, jakby kwitnących pałeczek. Można było je porównać do obróconych do siebie tyłem dwóch sierpów, bądź - by posłużyć się efektowniejszą metaforą - do pary skreconych z sobą ogonów tygrysich. By przejście od banalnej do feerycznej części nie było zbyt brutalne, kuper stopniowo się zwężał, żółkł i w miejscu połączenia z lirowatym dodatkiem był prawie niewidoczny.

Siedząc w ogrodzie, były uczony czerpał być może przyjemność - choć nie dawał tego po sobie poznać - z obserwowania, jak wspaniałe ogony wycierają się o siebie i o pręty za ciasnej klatki. Ptaki podusiły się jednak, nim zniosły jaja i wyczerpały letargiczną cierpliwość widza.

Essentielle postanowiła wówczas zapoznać męża z drobnymi pracami gospodarskimi. Pokazała mu, jak ubijać masło w mleczarni, którą całkowicie wyposażyła podczas podróży do Liverpoolu. Było tam wszystko: wirówka, wygniataрка, a nawet gustowne metalowe foremki, które przekazywały miękkiej masie zagłębienia i pagórki pasterskich scenek.

Były uczony pracował jednak tylko wtedy, gdy żona kierowała ruchami jego bezwolnego ciała. Pozostawiony sam sobie, zdawał się drzemać, skamieniały, z utkwionymi przed siebie tragicznymi oczyma, wyprostowanym torsem i dłonią na korbce maślnicy.

Współpracownik, który wziął się do dzieła zaraz po przyjeździe, zwrócił Essentielle uwagę, że niepotrzebnie traci czas. Mniej od niej przejęty depresją „twarzy muśniętej smutkiem”, uważał, że powinni pracować raczej

nad całkowitym wyzdrowieniem „monachijskiego handlowca” niż zajmować się jego rozrywkami w przejściowym okresie. Essentielle, przygnębiona, urażona uwagą i świadoma tego, że dała dowód słabości, wybuchła płaczem.

Gdyby młody człowiek zrobił w tej chwili to, czego bardzo pragnął, a mianowicie pocieszył ją pocałunkiem czy czułym gestem, poddałaby się pieszczotom. Widząc ją jednak tak rozbitą, stwierdził, że skorzystanie z okazji byłoby niewłaściwe. Ograniczył się do przeprosin, nieco nawet szorstkich, by tylko nie pomyślała, że chciałby wziąć ją w ramiona. Essentielle poczuła się jeszcze bardziej nieszczęśliwa. Nie mogąc wstrzymać łkań, pobiegła do swego pokoju.

W stanie ducha, w jakim się znalazł, współpracownik pomyślał jedno: „Ta dziewczyna mnie kocha, daje tego dowody, choć nie chce się przyznać. Jeśli sam niebawem nie wyjawię miłości, dojdzie do wniosku, że żywi uczucie do kogoś, kto na to nie zasługuje, i gotowa się zniechęcić...”. Postanowił więc wyznać zbyt długo skrywaną miłość, gdy tylko się z Essentielle zobaczy, co miało nastąpić zapewne przy podwieczorku. Na razie wrócił do pracy, z sercem ściśniętym z niecierpliwości, ale i pełnym nadziei.

Tymczasem małżonka byłego uczonego, uspokoiwszy się, wyrzucała sobie, że dała się ponieść nerwom. Bała się, że jej towarzysz zacznie podejrzewać, dlaczego tak zabiega o rozrywki „handlowca”, czego nie usprawiedliwiał fakt, że jest spadkiem po ubóstwianym ojcu. Jeszcze trudniej byłoby wytłumaczyć, czemu fiasko doświadczenia w mleczarni tak przesadnie nią wstrząsnęło. Powinna wyjaśnić powody rozpaczki, wyznać, że historia opowiedziana przed wyjazdem do Anglii była wymysłem, powiedzieć prawdę o związku, jaki łączy ją z właścicielem miedzianego hełmu.

Kiedy o piątej spotkali się przy stole, na współpracowniku takie wrażenie wywarła emanująca z niej powaga i energia, że pomyślał, iż lepiej poczekać z wyznaniem. Zaraz jednak wyrzucił sobie tchórzostwo, zdusił zakłopotanie, zebrał siły. Już wyciągał rękę, by pochwycić dłoń Essentielle i żarliwie wygłosić przygotowane wcześniej zdanie, gdy odezwała się w te słowa:

- Cantonie, skłamałam panu. Chory, któremu poświęcamy tyle wysiłku, jest handlowcem z Monachium nie bardziej niż pan. Ukryłam jego tożsamość, nie chcąc pana zranić. Dowiedziawszy się prawdy, mógł się pan poczuć zawiedziony i odmówić mi pomocy. Człowiek ten jest moim mężem,

powinien się pan wreszcie o tym dowiedzieć. Niech pan zechce wysłuchać naszej historii.

W tym momencie Essentielle się zawahała. Powiedziała już za wiele, lecz w żaden sposób nie mogła się zdobyć na wyjawienie swej przeszłości. Opowiedziała więc, co następuje:

- Skończyłam właśnie pierwszą klasę szkoły średniej, gdy rodziców odwiedził podróżnik, którym był mój trzydziestoparoletni kuzyn we własnej osobie. Wracał z Chile po długim pobycie w kopalniach miedzi w Atacamie, gdzie pracował jako inżynier. Rodzina jego mieszkała w Belgii i przed powrotem do domu chciał spędzić kilka dni w Paryżu u ukochanej ciotki. Musi pan wiedzieć, że - chcąc ulżyć zbyt płodnej siostrze - matka wychowywała czwartego siostrzeńca aż do czasu, gdy poszedł do szkoły. Choć moje późne narodziny zaspokoily jej instynkt macierzyński, kuzyna traktowała jak syna i była uszczęśliwiona każdą jego wizytą.

Nie widzieliśmy inżyniera od prawie siedmiu lat. Wyznał, że zapamiętał mnie jako dziewczynkę i ze zdumieniem ujrzał tak dorodną pannę, która po nim miała - co stwierdził bez fałszywej skromności - bardzo błękitne i bardzo piękne oczy.

Słowa te ogromnie mi schlebiły, tym bardziej, że spotykałam się wówczas z chłopcem w moim wieku, który zupełnie nie potrafił prawić komplementów. Oczywiście zaraz mu oznajmiłam, że me wdzięki wywarły wrażenie na dorosłym mężczyźnie, którego spojrzenie miało wyjątkowy czar.

Pod wpływem tego wyznania uczucie, jakie żywił do mnie mój rówieśnik nasiliło się tak gwałtownie, że tydzień później ośmielił się poprosić ojca o rozmowę, by błagać o moją rękę. Rodzice, bardziej oburzeni niż wzruszeni czy rozbawieni, zbesztali mnie, zabraniając spotkań z nastolatkiem. Zagroziłam samobójstwem. Nie potrafiąc przemówić córce do rozsądku, zwrócili się do „starszego brata”, tak bowiem czule kuzyna nazywali. Może jemu uda się na mnie wpłynąć? Zorganizowali nam w moim pokoju kameralne spotkanie. Inżynier wygłosił do mnie mowę. Zafascynowana, że jest tak męski i tak przystojny, nie oponowałam zbyt. Na koniec powiedział drżącym głosem, że jestem bardzo ładna i że gdy dorosnę, bez problemu znajdę męża. „Z takim biustem” - dodał, muskając palcami mą talię. Trochę spłoszona, lub chcąc sprawić takie wrażenie, w odpowiedzi zdzieliłam go pięścią w żołądek. Wybuchliśmy śmiechem i od słowa do słowa

znaleźliśmy się na dywanie, bijąc się niczym dzieci na szkolnym podwórku. Gdy ja świetnie się bawiłam, wymyślając coraz to nowe chwytły, on nagle zamarł, wykrztusił przeprosiny, po czym zerwał się na równe nogi. Na początku bitwy był czerwony, teraz gwałtownie zbladł. Poprawił krawat, ułożył włosy, podszedł do drzwi, otworzył je; po czym bardzo głośno powiedział: „Tak więc udało mi się kuzynkę przekonać. Niech kuzynka dotrzyma obietnic, a sprawi mi wielką przyjemność”.

Zmiana w jego zachowaniu, surowa mina bez śladu ciepła i serdeczności, które okazywał mi jeszcze kilka minut wcześniej, wprawiły mnie w osłupienie. Spocona i obolała po próbach obrony przed nim, czując, jak wszystko we mnie rwie się do kontaktu z jego zwałistym, lecz nawet w gwałtownych ruchach delikatnym ciałem, nie mogąc zapanować nad rozczarowaniem, wybuchłam płaczem. Podszedł wówczas do mnie, wziął moją głowę w dłonie i na uspokojenie chciał pocałować w policzek, ale tak źle wymierzył, że jedna trzecia pocałunku trafiła w usta.

Nazajutrz wyjechał do Belgii. Przyspieszył wyjazd mimo nalegań rodziców, którzy chcieli, by został dłużej.

Wydawało mi się, że cierpię z powodu zakazu spotkań z młodym absztyfikantem, który poprosił o moją rękę. Przez trzy dni wpadałam to w wielkie podniecenie, to w niepokojącą depresję. Odmawiałam jedzenia, matka próbowała więc namówić mnie do zwierzeń, bez skutku jednak, choć obiecywała wyrozumiałość. Z rozpaczy ubłagała męża, by pozwolił mi widywać zakochanego młodzieńca. Ojciec, też zaniepokojony moim zdrowiem, przystał na to, co - jak sądził - wróci mi radość. Jakże zmartwiłam rodziców, przyjmując wiadomość bez entuzjazmu. Zdumiałam ich, pokazując, że nie mam zamiaru korzystać z nowo nabytego prawa.

Trzy miesiące później kuzyn znów się zjawił. Schudł, po chilijskiej opaleniznie - która tak pięknie podkreślała błękit oczu - nie było śladu. Od razu chciałam go mieć tylko dla siebie, toteż źle znosiłam radość zachwyconych wizytą rodziców. Uważałam za rzecz naturalną, że wszystko wokół powinno dyskretnie zniknąć, a nawet ojciec z matką - którzy zmienili się w obcych, czyli we wrogów - winni usunąć się z szacunku dla nas, pragnących w spokoju na siebie patrzeć.

Kuzyn był nieco zamknięty w sobie, jakby roztargniony, i nie prawił mi frywolnych komplementów, których oczekiwałam.

Mama zorganizowała na jego cześć potańcówkę. Było dużo gości i szampana.

Okolo północy lekko pijany inżynier podszedł do mnie, tak jak kiedyś wziął moją głowę w dłonie i namiętnie pocałował. Potem dłuższą chwilę patrzył na mnie z bardzo bliska. Wreszcie ochryplym, sarkastycznym, łamiącym się głosem powiedział, że mnie kocha, że nigdy nie będę mogła zostać jego żoną i że przez to umrze.

Wówczas zemdlałam, co nikogo nie zdziwiło, zważywszy, jak słabego byłam od jakiegoś czasu zdrowia.

Gdy oprzytomniałam, leżałam w swoim pokoju. Rodzice z kuzynem nachylali się zaniepokojeni nad łóżkiem. Kuzyn chciał wyjść, zostawiając ciotce opiekę nade mną, ale że mama musiała pełnić obowiązki pani domu, poprosiła, by został. Ojciec wyszedł za nią i tak znalazłam się sam na sam z moim wybranym.

Nie zwlekałam z wyznaniem, że za nim szaleję i że jeśli ma umrzeć, chcę, by nasze wspólne samobójstwo położyło kres tragicznej dla obojga sytuacji. Przerażony moimi słowami, zapewnił, że przesadzał, że grał pijacką komedię, nie chciałam mu jednak wierzyć. Zagroziłam, że doniosę rodzicom, jeśli nie zabierze mnie ze sobą w ostateczną podróż. Po wielu próbach przekonania mnie, że jego wyznanie było wygłupem, poczuł się pewnie na tyle zmęczony, że obiecał, iż skończymy ze sobą w wybranym przez mnie czasie.

- Wszystko to brzmi jak bajka, co? - dorzuciła Essentielle po chwili przerwy.

Od strony drzwi zaczęły nagle dochodzić skrobania i gwałtowne walenie. Przez krótki moment zapanowała cisza, zaraz jednak dziwne dźwięki rozległy się znowu. Tym razem towarzyszyły im gniewne i głośnie wrzaski. Essentielle spojrzała na Cantona, na którego twarzy malowało się niezwiązane z odgłosami zakłopotanie.

- Co pan sądzi? - spytała.

- Proszę mi wybaczyć, ale myślę, że nie był przy zdrowych zmysłach - odparł, pewien, że mowa o pseudokuzynie.

Na dole w mleczarni, gdzie eksuczony pozostawiony był samemu sobie, maślnica zaczęła obracać się z szaleńczą szybkością. Jakby w odpowiedzi na zgiełk na zewnątrz.

Essentielle zbiegła na dół. W okienku widniała czarna, wykrzywiona twarzyczka. Nieproszonym gościem był nikt inny, tylko małpka londyńskich cyrkowców. Ledwie drzwi się otworzyły, wpadła do korytarza z szybkością meteoru. Bez chwili wahania pomknęła do mleczarni i rzuciła się na szyję mężczyźnie o miedzianym czole. Wycalowała przyjaciela, oblizwała, pokasała i, przytuliwszy policzek do „twarzy muśniętej smutkiem”, zamknęła oczy, zemdląca. Eksuczony, ogłupiały, trzymał w objęciach wycieńczone ciało, podczas gdy jego oblicze zaczęło wyrażać dziwne uczucie, podróżujące pod skórą niczym fala.

Uciekinier był w żalonym stanie. Strzępy czerwonego papieru, stanowiącego niegdyś kozacką burkę, zwisały w uwięzi zapiętego w talii pasku. Sweterek był podarty, skręcone w harmonijkę kłaczki wełny sterczały na łapkach i przy łebku. Opaska od futrzanej czapeczki kaleczyła szyję, łapy w wielu miejscach krwawiły, a płaty gołej skóry wskazywały na to, że małpka niejedno przeszła, nim dotarła do ich domu.

Canton zaniósł ją do łóżka i troskliwie się zajął. Gdy odzyskała przytomność, uspokoił ją widok sprowadzonego do pokoju eksuczonego. Potem, wypiwszy kilka łyków mleka, zasnęła.

Essentielle ze współpracownikiem wrócili więc do jadalni, jedno, by dokończyć opowieść, drugie, by jej bez entuzjazmu wysłuchać.

- Tak... Wszystko to brzmi jak bajka... - powtórzyła Essentielle. - Niech pan jednak, drogi Cantonie, wysłucha, co było dalej:

- Reszta wydarzeń miała miejsce na stromym brzegu w Étretat. Dwa dni później kuzyn poprosił ciotkę o pozwolenie zabrania mnie na całodniową wycieczkę, na co chętnie się zgodzono w nadziei, że spacer przyspieszy moje wyzdrowienie.

Wyruszyliśmy samochodem o czwartej nad ranem. Po raz pierwszy w życiu wyszłam z domu tak wcześnie. Nie znałam widoku opustoszałych ulic. Ślepe sklepy, palące się jeszcze latarnie, intymne i absurdalne w pozerającym wszystkim świetle świtu, cierpki smak powietrza, zamglone niebo, cisza - cóż za dziwny świat? Wyobrażałam sobie, że przemierzamy

przedsionek Śmierci, że gdzie indziej, na ulicach ludzi, którzy wybrali życie, roi się od przechodniów, lśnią witryny, dzieci, pokrzykując, idą do szkoły w jasnym świetle swojskiego dnia. Nagle poczułam, że kocham to wszystko, czego się wyrzekłam. Sama myśl o rodzicach, których obecności jeszcze poprzedniego dnia znieść nie mogłam, rozdzierała mi serce. Mężczyzna siedzący obok za kierownicą - sztywny, głuchy i ślepy - kimże był, jeśli nie porywaczem?

Ogarnął mnie strach, tym większy, że wiedziałam, iż kto raz przekroczy próg owej „krainy”, do której podążałam, nie ma drogi powrotu.

Potem na bezkresnym niebie wzeszło słońce, zazieleniły się wsie, ptaki wydały z siebie płynne trele, rozszczękały się psy, domy zwymiotowały żywe stworzenia: dziewczynki i chłopców, owce i konie, które podzieliły się między sobą żółtymi drózkami.

Wówczas dopiero poczułam, czym jest świat, mój świat, i po raz drugi pogodziłam się z myślą o śmierci.

Koło południa dotarliśmy do okolic Caux. Zjedliśmy smażoną rybę w Fécamp, zebraliśmy po drodze słodko-kwaśne jabłka na cydr i zjechaliśmy do Étretat, gdzie, zostawiwszy samochód na poboczu, zaczęliśmy od strony łądu wspinać się na klif. Wybrzeże jest w tej okolicy wyjątkowo dzikie. Nigdy nie widziałam tak wzburzonego morza ani nie czułam tak silnego wiatru. Kuzyn wziął mnie za rękę i z trudem brnęliśmy naprzód. Ubrania trzepotały nam niczym flagi, wichura targała włosy.

Gdy dotarliśmy na szczyt, dobre sto metrów poniżej ujrzałam pieniaące się fale. Mewy rysowały na niebie biało-szare strzałki. Ich dzikie piski przeszywały huk morza i wiatru. Kuzyn chciał mi coś powiedzieć, ale nic nie słyszałam. Zaczął szukać po kieszeniach papieru i ołówka, lecz nie znalazł. Wziął mnie więc w ramiona, przesunął ustami po mojej twarzy, powoli, tak jak ślepiec wodzi palcami po literach, które chce odczytać, delikatnie, aż dotarł do ust i ogarnął je swoimi. Wówczas dostałam mocny cios w głowę.

Nazajutrz miejscowa gazeta „Le Petit Fauchois” zamieściła następującą wiadomość:

Wczoraj rano na klifie w Étretat znaleziono dwa ciała. Kobieta, prawie dziecko, cierpi jedynie na wylew krwi na skroni. Wszystko wskazuje na to, że ktoś zadał jej cios na samym skraju przepaści. Mężczyzna, choć nie uniknął

upadku, zawisł szczęśliwie na skale około pięćdziesięciu metrów nad otchłanią. Rana głowy, jaką odniósł, jest jednak tak poważna, że lekarze nie dają mu szans na przeżycie.

Essentielle podniosła do drżących ust nie mniej drżącą filiżankę herbaty. Wcale nie udawała, szczerze wierzyła w opowieść o swej pierwszej, jedynej miłości i próbie samobójczej. Przełknęła parę łyków, odstawiła filiżankę i dodała:

- Mój drogi Cantonie, z pewnością domyśla się pan dalszego ciągu: cudownego ocalenia śmiertelnie rannego kuzyna, jego wyzdrowienia, miłości, której nawet rodzice nie śmieli się przeciwstawić... Naszego małżeństwa wreszcie. Domyślił się pan, czyja ręka wymierzyła mi w głowę cios, któremu zawdzięczam życie. Choć przyrzekł mi zgon, ten, kto był dla mnie wówczas jedynie kuzynem, zbyt mnie kochał, by pociągnąć ze sobą na dno przepaści.

Rozdział ósmy

Eksuczony zdawał się znajdować przyjemność w towarzystwie nieoczekiwanego gościa. Gdy małopka udawała, że w skupieniu iska mu pchły na owłosionej klatce, zdarzało się nierzadko, iż pochylał się nad jej sierścią, wykonując podobne gesty. Okraszał je często niezgrabną pieśczęcią bądź kuksańcem. Obserwując ich, Essentielle gotowa była przysiąc, że w takich chwilach odrętwiała twarz męża rozpogadza ukradkowy uśmiech.

Pewnego dnia zastała parę przyjaciół przy innym zajęciu: małopka tańczyła, a były uczony niezdarnie klaskał w dłonie. Z gardła dobywał mu się ochryply, niski dźwięk, dość zbliżony do odgłosu, jaki w niefachowych rękach wydawałby puzon.

Wzruszona Essentielle postanowiła zbudować dla swych podopiecznych mechanicznego muzyka, który pozwoli im tańczyć do woli. Nie było to dla niej trudne zadanie. W dwa dni naszkicowała plan elektrycznej maszyny, mogącej grać jednocześnie na skrzypcach, gitarze i tamburynie oraz potrząsać dzwoneczkami w takt trzech najbardziej znanych rosyjskich melodii. Rzemieślnik z Manchesteru podjął się jej budowy, a właścicielka sąsiedniej posesji, emerytowana krawcowa, uszyła na miarę tancerzy świetne podróbki strojów kozackich.

Tak więc, spokojna wreszcie o rozrywki męża, Essentielle mogła u boku współpracownika poważnie poświęcić się przygotowaniom do zbyt długo odkładanej operacji.

Canton nie pracował jednak z dawnym oddaniem. Z pewnością wyznanie wybranki, odbierając mu nadzieję na jej zdobycie, osłabiło naukowy zapał.

Małżonka eksuczonego, świadoma, jaki wstrząs wywołała u osoby, której pomoc była dla niej tak cenna, i jak bardzo zakłóciła jej pracę, usiłowała być czuła i kokieteryjna, lecz młodzieniec, wietrząc interesowność, wysiłki owe przyjmował oziębło. Essentielle zachowywała się trochę jak odtrącona kochanka, usiłująca na powrót zdobyć utracone uczucie. Starła się tak bardzo, że Canton - mimo wszystko czuły na jej wdzięki - wkrótce, szybciej nawet niż można się było spodziewać, znów znalazł się pod jej

urokiem. Radość towarzysząca zwycięstwu, w połączeniu z wyobraźnią Essentielle i pewnym rozleniwieniem, spowodowały, że w pracowni rozkwitła idylla, nie tylko nie sprzyjająca postępowi pracy, ale wręcz odciągająca od niej myśli. Dodać trzeba, że stałe funkcjonowanie muzycznego robota, którego metaliczne tony przeniknęłyby ściany grubsze niż w ich domu, nie sprzyjało skupieniu.

W tym samym czasie Kozacy nie zasypiali w mleczarni gruszek w popiele. Były uczony zdradzał talent do tańca dalece przewyższający zdolności małpki. Pewnie dzięki gimnastyce sztywne kolano zaczęło się zginać i posługiwał się nim prawie normalnie. Niebawem jego repertuar znacznie się wzbogacił: robił przerzuty bokiem, ryzykowne skoki i wiele innych niezwykłych akrobatycznych sztuczek, które wplatał w taniec. Ruchy jego były tak urozmaicone i pełne gracji, że Essentielle z Cantonem przyglądali się z zachwytem, choć podziw Cantona nie był całkiem szczery, bo trudno mu było nie widzieć w tancerzu szczęśliwszego rywala.

Co dzień po ciagnącym się długo podwieczorku para badaczy schodziła pod rękę do piwnicy podziwiać odbywające się nieprzerwanie przedstawienie. Zabawa kończyła się tak późno, że nazajutrz niewiele mieli energii do pracy.

Pewnego wieczoru emerytowana krawcowa, zaintrygowana muzyką robota, zajrzała z ciekawości przez okienko, po czym wyraziła chęć dołączenia do rozbawionych widzów. Kilka dni później przyprowadziła matkę i siostrzenicę. Potem dziewczyna pozwoliła sobie zaprosić grupkę przyjaciół. Na wieść o atrakcji sklepikarz zjawił się z rodziną i zapasem piwa. Wesołość pijących ściągała wielu ciekawskich, którzy wchodzili do mleczarni jak do budynku publicznego. Pewnej nocy dwóch policjantów przyszło upomnieć zgromadzonych, że nie pozwalają spać sąsiadom. Urzeczeni jednak tym, co ujrzeli, wrócili nazajutrz w cywilu w towarzystwie licznych kolegów. Kto przyszedł raz, zostawał oczywiście stałym bywalcem.

Po kilku tygodniach okazało się, że para aktorów nie wystarcza rosnącej publiczności, toteż siostrzenica krawcowej zaofiarowała wzbogacenie programu. Znała kilka kuglarskich sztuczek. Za jej przykładem poszło wielu widzów, którzy uważali się za zabawnych.

Po trzech miesiącach zapanowały taki chaos i degrengolada, że rodziło się pytanie, czy gospodarze nie oszaleli.

Essentielle zrozumiała jednak, co się dzieje, dopiero wówczas, gdy były uczony z małpką po kryjomu się wyprowadzili. Chcąc mieć spokój przy

ulubionym zajęciu, przenieśli się na strych, zabierając z sobą - kosztem wysiłku, o jaki trudno ich było podejrzewać - niezbędną pozytywkę.

Wesołość towarzystwa nie przygasła tego wieczoru z powodu nieobecności uciekinierów. Od pewnego czasu zresztą zabawa zaczęła przybierać nowe formy. Mniej uwagi poświęcano sztuce i artystom. Występy amatorów i gry towarzyskie już nie wystarczały. Rozognione alkoholem głowy wymyślały pikantniejsze rozrywki. Szczególnym powodzeniem cieszyła się wyzywająca i niestała w uczuciach, nosząca czarne pończochy i wabiąca okrągłościami siostrzenica krawcowej.

Gdy Essentielle spostrzegła, że Kozacy nie uczestniczą w zabawie, wydało się jej, że budzi się raptem ze złego snu. Zachowanie Cantona, który, leżąc obok pijany, pieścił jej talię, otrzeźwiło ją do końca. Pojęła, jak bardzo była płocha i że wszystkiemu zawiniła gra, w którą dała się wciągnąć, by na powrót zdobyć ochłodzone wyznaniem prawdy uczucie współpracownika.

Nazajutrz wszystko wróciło do porządku. Essentielle zainstalowała w drzwiach zamki i obojętnie przyjęła rozczarowanie stałych bywalców, czekających przez część nocy przy furtce. Wreszcie, przeklinając mieszkańców zamkniętej posesji, rozeszli się do domów, obrzuciwszy wpierw kamieniami okna.

Później siostrzenica byłej krawcowej wynajęła stojącą na kanale starą barkę i przyjmowała na niej przyjaciół za odpowiednim wynagrodzeniem, które przed wejściem na pokład wręczali ciotce przez okrągłe okienko. Jej klientela szybko rosła. Prywatne kluby - zajmujące się organizowaniem rozrywek dla robotników i personelu fabryk - raz na tydzień przysyłały swych członków. Byli wieczorowi studenci Szkoły Handlowej także co sobota spotykali się na barce. Nie licząc uczestników kursu gimnastyki korekcyjnej doktora Wyse'a oraz osób zjawiających się na własną rękę, zwabionych ustną reklamą, dobrze służącą zakładowi.

Niestety pewnej nocy, gdy na barce znajdował się spory tłum, wybuchł pożar, w którym zginęli siostrzenica, ciotka i większość klientów.

Naukowcy niezwłocznie przystąpili do dzieła. Zmęczona nadskakiwaniami, Essentielle przestała się odzywać do Cantona poza pracą. Po dwóch

miesiącach, w chwili, gdy nastąpił wypadek na barce, byli gotowi podjąć próbę wprowadzenia w ruch sztucznego mózgu.

Mleczarnia zamieniona została w salę operacyjną. Pomalowali ją na biało i założyli konieczny w szpitalu system ogrzewczy. Essentielle sprowadziła z Paryża specjalistę od urządzeń sanitarnych, który podjął się dostarczenia emaliowanych mebli, fartuchów oraz niezbędnych reflektorów, tudzież zestawu narzędzi chirurgicznych, alkoholu, rękawiczek i waty opatrunkowej.

Wpierw rozdzielili Kozaków. Pieszczota chloroformem od razu podziałała na osłabione tańcem organizmy. Małpkę położyli do łóżka i zamknęli w pokoju, eksuczonego zaś przenieśli do piwnicy, gdzie dali mu szereg zastrzyków, dzięki którym miał spać do końca operacji.

Essentielle zdawała sobie sprawę z doniosłości chwili. Za dwie lub trzy godziny miała się przekonać o efekcie dziesięciu lat studiów i, jeśli wszystko pójdzie dobrze, rozpocząć pasjonującą przygodę zgłębiania posępnej i samotniczej duszy, której istnienie zdradził jej widok za szybą.

Na samą myśl o znalezieniu się u boku uczonego w pełni władz umysłowych ogarniała ją dziwna nieśmiałość. Przed operacją się wykąpała, umalowała i ubrała kokietyjniej niż zwykle. Jak gdyby szykowała się do spotkania na peronie z niewidzianym od wielu lat ukochanym podróżnym. Spięta, pełna obaw, często spoglądała w lustro, sprawdzając, jak wygląda, zadawała sobie w duchu mrowie pytań. Co sobie o niej pomyśli? Że się postarzała? Czy wyczyta to w jego oczach, wyczuje we wzruszeniu, litości, odrazie? A może w głębi duszy ucieszy się, że wydołała?

Dzień po dniu opowie mu swe życie, studia, sukcesy, spotkania z ludźmi, etapy, przez które sam kiedyś przeszedł. Nie zatai niczego, uczonego musi wiedzieć wszystko, co go dotyczy, bo wszystko zrozumie. I tak dziesięcioletnia noc, zamiast wydać mu się przepaścią dzielącą dwie fazy życia, objawi się jako spokojne czuwanie, podczas którego obserwował wydarzenia z pewnej odległości, przez półprzeźroczystą zasłonę przymkniętych powiek.

Rozdział dziewiąty

W przerobionej na salę operacyjną mleczarni było przyjemnie ciepło. Pacjent spał na stole operacyjnym, nagi z wyjątkiem przepisowych kapci. Twarz, której tylko nos wystawał z niebieskich fałd bielizny, zachowała pod przykryciem towarzyszący jej od dziesięciu lat wyraz, choć rozjaśniał ją niekiedy promień światła bądź iluzoryczne zmarszczki głębokiej zadumy.

Ubrani w fartuchy, gumowe rękawice oraz olśniewająco białe czepki i maski, Essentielle z Cantonem uwijali się wokół chorego, w milczeniu powtarzając niepotrzebne na razie gesty, które za chwilę stać się miały zbawczymi może ruchami ich pierwszej operacji.

Na dającym się łatwo i bezgłośnie przesuwac ruchomym stoliku leżały po prawej stronie w starannie wyliczonej odległości gotowe do użycia narzędzia z chromowanego metalu. Na lewo stało spore stalowe pudełko z dwudziestoma czterema przegródkami, zawierającymi dwanaście rodzajów kółek zębatych i tyleż cylindrów.

Zwlekali z rozpoczęciem. Nie wiedząc, jak się wobec niej uczony po obudzeniu zachowa, Essentielle zastanawiała się, czy nie lepiej operację przełożyć. Cantonowi, drżącemu na myśl o konfrontacji z mężczyzną, którego żony pożądał, uczciwość kazała odrzucać przechodzące przez głowę niewyobrażalne myśli. Z obydwójga obficie płynął pot. Nieprzyzwyczajona do nakryć głowy, Essentielle odruchowo zsunęła czepkę. Nie zdając sobie sprawy, co robi - tak zajęty był wewnętrzną walką, z której chciał wyjść zwycięsko - współpracownik zdjął fartuch i zerwał utrudniającą oddychanie maskę.

Wreszcie, wyzwolony z morderczych zamysłów, energicznie potrząsnął dzwoneczkiem, dając znak do rozpoczęcia. W tejże chwili zgasły reflektory, a pacjent, którego podświadomość zarejestrowała przypominający mu pewnie muzycznego robota dźwięk, wykonał horyzontalny entrechat. Nie mieli czasu do stracenia. Zapalili przewidziane na taką sytuację świece i, ledwie uczony znów zaczął spokojnie oddychać, wzięli się do dzieła.

Nad otwartym mózgiem zaraz stali się zwykłymi lekarzami, myślącymi tylko o powodzeniu operacji. Przerazili się stanem maszyny. Przez sekundę

skrzyżowały się ich spojrzenia, wyrażające chłodne, medyczne osłupienie, jakie rodzi się niekiedy na twarzy chirurga. Właśnie z pewnym roztargnieniem otworzył brzuch, pewien, że wie, co tam znajdzie, a tu jego oczom ukazuje się niewykryty przez badanie, zaawansowany, rozległy rak.

Wnętrze mózgu nie było, jak dawniej, skąpane w emanującym wdziękiem i spokojem złotawym półmroku. Wszystko było zielonkawe i jakby skamieniałe. Nieczułe na popychania, żadne z kółek nie chciało drgnąć. Chory zegar zawsze odpowiada, choćby ukradkowym półobrotem trybiku, na wezwanie ostukującego narzędzia. Oglądając w kapryśnym świetle świec mechaniczny umysł, można było pomyśleć, że jest się na dnie przezroczystego morza, obok szczątków zatopionego przed wiekami statku. Miliony pasożytów - małże, rozgwiazdy, gąbki, korale - wzniosły na nim swą geologię, założyły miasta i cmentarze, każdy kształt zaokrąglając, zabarwiając na zielono, powodując zrośnięcie z innymi. A może pod skorupą nie było już nic? Może był to efekt działania Czasu, który wyhaftował na obrusie plaży zarys okrętu?

Trzeba było młoteczką rozbijać warstwy tlenków i zasadowych węglanów, szlamować, skrobać, drapać, wytrawiać, trzeć, czyścić, aż miedź znów zaczęła błyszczeć. Musieli wymienić wyszczerbione podczas czyszczenia przekładnie. Na koniec zwilżyli wszystko rzadkim olejem, który po wchłonięciu usprawnił mechanizm. Ten etap operacji wymagał czternastu godzin, podczas których chirurdzy nie wymienili ani słowa. Tak im było spieszno przejść do części naukowej, że zapomnieli o głodzie, pragnieniu, zmęczeniu, a nawet prywatnych dylematach.

Muszę teraz ostrzec czytelników, że począwszy od następnych linijek *stricte* techniczny charakter niezbyt co prawda długiego fragmentu tekstu może wystawić na próbę drogą mi cierpliwość państwa. Dlatego też, jeśli ktoś nie ma ochoty mi towarzyszyć, nie będę mu tego miała wcale za złe.

Wszystkie świece się wypaliły. Essentielle rozsunęła zasłony, ale światło świtu okazało się niewystarczające. Szczęśliwie Canton miał w kieszeni latarkę. Zawiesił ją nad mózgiem na zagiętym drucie. Chory zaczął się ruszać, toteż, by sen przedłużyć, wstrzyknęli mu w udo zawartość kolejnej ampułki.

Potem zaczęło się badanie każdej części po kolei. Było ich z górą tysiąc. Regulator chodu zdawał się w świetnym stanie, za to w napędzie koniec

sprężyny, który powinien przekazywać stały moment obrotowy na równoległą oś cylindra przenośnika ślimakowego, odlutował się i poruszał swobodnie. To właśnie być mogło przyczyną zatrzymania, choć wypadek zdarzyć się też mógł dopiero podczas konserwacji. Wiadomo, że jedną z trzech głównych części zegara - obok regulatora i napędu - jest wychwyty, pośredniczący między przekazującymi siłę napędową przekładniami zębatymi a regulatorem, występującym pod postacią balansu włosowego. Wiadomo też, że istnieje kilka odmian wychwyty: cylindrowy, kotwiczny i kołkowy, z których od początku wieku najczęściej stosuje się pierwszy. Essentielle z Cantonem stwierdzili jednak rzecz bardzo dziwną: mechaniczny mózg, urządzenie ultranowoczesne, zaopatrzony był w wychwyty kotwiczny, który na domiar - co zdumiewało jeszcze bardziej - posuwał się w tył. W nieswobodnym wychwyty wstecznym między kolejnymi skokami koło przemianowe nieznacznie się cofa. Okazało się - a jest to anomalia bardzo groźna - że jego skoki nie są ani regularne, ani dość pełne. W przypadku takim nic się nie da zrobić poza wymianą całego wychwyty.

Essentielle z Cantonem nawet przez moment nie pomyśleli, że urządzenie tak staroświeckie może być częścią awangardowego wynalazku, toteż wyposażyli się tylko w wychwyty cylindrowy. Musieli więc niedziałający element odłączyć, wyjąć z czaszki i zbadać ząbek po ząbku, gdyż do poważnego rozregulowania wystarczyło nieznaczne stępienie jednego z nich. Pod mikroskopem Essentielle rzeczywiście stwierdziła, że jeden koniuszek jest minimalnie krótszy od reszty. Nie dysponując nową częścią, przylutowali starą, po czym wychwyty wrócił do miedzianego gniazda.

Podłączony do kontaktu specjalny aparacik oczyścił wreszcie delikatny mechanizm z mogącego zakłócić jego funkcjonowanie kurzu, oraz wdmuchnął do środka ciepłe powietrze, mające pobudzić kółka zębate do pierwszych ruchów.

Pozostało tylko zamknąć miedzianą pokrywę i czekać. Canton, choć wymęczony trzydziestoma godzinami bez snu, oświadczył, że nie zostanie dłużej w domu, w którym nie ma już dlań miejsca. Mimo mało energicznego sprzeciwu Essentielle, pożegnał się, przyjął podziękowania i całusy, których żarliwość prawie doprowadziła żonę eksuczonego do płaczu, poprosił, by informowała go o skutkach operacji i poszedł na piętro się spakować, zamierzał bowiem zdążyć na pociąg do Londynu, odjeżdżający godzinę później.

Szczerze mówiąc, z różnych przyczyn Essentielle wolą być w chwili przebudzenia sama u wezłowania pacjenta. Chciała też mieć czas, by pomyśleć... i przygotować się do usłyszenia zapowiadającego dobrą nowinę znajomego tik-tak.

Trochę więc poczekała, zamyśliła się, po czym zasnęła.

Wpierw brnęła przez bezkresne bagna. Lodowate błoto oblepiało jej szyję, wchodziło do ust. W miarę jak szła, kości pękały jej na tysiące odłamków. Poza kłaskaniem poruszanego stopami błota nie słyszała nic. Ani ptasiego krzyku, ani szumu liści. Często zdawało się jej, że widzi brzeg rzeki, przyspieszała więc kroku, by szybciej doń dojść, lecz zawsze się okazywało, że to tylko błoto spada ze stoku powolnym i głośnym wodospadem, od którego nie ma ucieczki. Wolno i z hukiem Essentielle spadała wraz z błotem. U stóp jednego z wodospadów rozciągała się łąka. W oddali szedł orszak pogrzebowy, przypominający wielkiego brązowego robaka w goglach i z kwietnymi czułkami. W trawie wił się długi ogon. Był to pogrzeb Cantona. Essentielle poczuła się winna, bo źle wobec niego postąpiła. Zaczęła biec, by dołączyć do orszaku, a słońce suszyło na jej ciele muł, odpadający kruszącymi się kawałkami, gdy uwagę jej przykuły powtarzane echem niewidzialnych wzgórz, głucho i uporczywie uderzenia. Pojawił się dom. Uderzenia stawały się tym głośniejsze, im bardziej dom się zbliżał i im wyraźniej było widać, że jest częściowo zrujnowany. Essentielle weszła do środka. Leżąc na brzuchu, jakiś mężczyzna wybijał żelazną sztabą dziurę w ścianie.

Obudziła się w mleczarń. Przez okno wchodził dzień: jasny, pogodny, złoty i hałaśliwy. Słysząc było krzyki zamkniętej na piętrze małpki i walenie jej piąstek w drzwi. Stół operacyjny był pusty. Leżąc na brzuchu, uzbrojony w żelazną sztabę, były uczony wybijał dziurę w ścianie.

Rozdział dziesiąty

Tak więc operacja się nie udała i tajemnica mechanicznego mózgu, choć zbadany został po najdalsze zakamarki, pozostała nierozwiązana.

Jak jednak tłumaczyć przekształcenie się jednej osobowości w drugą u pacjenta pozbawionego mózgowia - ośrodka doznań i świadomych ruchów? Podsumujmy:

Faza pierwsza:

Uszkodzenie mózgu wyzwała zachowanie człowieka obdarzonego wielką siłą, krótko mówiąc pracownika fizycznego, a ściślej niszczyciela. Zachowaniu temu kres kładzie drobny wypadek, który wpędza pacjenta w depresję, daleką od jakichkolwiek reakcji automatycznych.

Faza druga:

Nowe zachowanie, wyzwolone dzięki przypadkowo zaobserwowanej scenie, przywraca uśpionemu organizmowi zdolność ruchu. Nie ma żadnego związku z fazą poprzednią i ujawnia ukrytą osobowość artysty, intelektualisty pozbawionego zainteresowań erotycznych, jednym słowem - tancerza.

Faza trzecia:

Długo przygotowywana, skomplikowana operacja, przeprowadzona przez kompetentnych specjalistów, niewiedzących jednak nic o przeszłości chorego, a więc nieświadomych, jak może działać jego podświadomość, przynosi powrót do fazy drugiej.

Dlaczego do niej, skoro tym razem zmianę zachowania powoduje z pewnością czynnik mechaniczny, a nie zaobserwowana scena (jak w fazie pierwszej)?

Nasuwają się następujące pytania:

a) Czy mózg jest niesprawny tylko częściowo i może kierować wyzwoleniem się uśpionej tożsamości, pobudzonej do życia obserwacją sugestywnej sceny?

b) Czy niesprawny jest całkowicie i reakcje pacjenta to mechaniczne odruchy?

Odpowiedzi na te pytania dostarczyć może jedynie czytelnik o stosownej naukowej wiedzy, nie mają one jednak znaczenia, gdyż problem rozwiązany zostanie - szczęśliwie bądź nie, każdy sam oceni - już na końcu tego rozdziału.

W każdym razie Essentielle nie zadawała sobie takich pytań. Nie miała dość danych, by na nie odpowiedzieć, zbyt też była zmęczona i zawiedziona, by się zastanawiać. Nie mogąc na razie zahamować niszczycielskiej działalności męża, poszła wypuścić małpkę, której krzyki dodatkowo rozstrajały i tak już nadszarpnięte nerwy.

Kilka dni później Essentielle postanowiła, że sama podejmie jeszcze jedną próbę operacji. Stawało się to tym pilniejsze, że małpka - zrozpaczona, iż nie może rozpoznać przyjaciela w opętanym dziurawieniem ścian osobniku - postanowiła w miarę możliwości go naśladować. Na początku wykonywała przed nim najpiękniejsze pozy, bez skutku usiłując rozbudzić dawnego tancerza. Nowy kompan okazał się jednak całkowicie obojętny na wszystko poza pracą. Cóż było robić? Skoro czułość i taniec nie mogły dalej łączyć dawnych Kozaków, wykonywana z zapalem wspólna - choć mniej artystyczna - praca uczyni z nich parę równie nierozdzieloną co dawniej. Tak kombinowało zwierzątko, pomagając górnikowi wywozić gruz, układać je w kupki i wybijać nowe dziury.

Przy takim tempie dom groził zawaleniem przed upływem tygodnia.

Tego dnia w porze podwieczorku, zatkawszy wpierw wszystkie szczeliny w ścianach jadalni, gdzie robotnicy się posilali, Essentielle wpuściła przez dziurkę od klucza gaz usypiający, który zaskoczył ich w środku posiłku. Pół godziny później wyniosła uśpioną małpkę do jej pokoju, zostawiając eksuczonego w jadalni, bo nie bardzo było go gdzie przenieść. Zmęczona dbałością o sterylne warunki i, prawdę mówiąc, nie spodziewając się wiele po operacji, postanowiła przeprowadzić ją byle gdzie.

Odchyliła w tył głowę siedzącego przy stole uczonego i oparła na jašku. Po czym otworzyła pokrywę i przyjrzała się błyszczącemu złotem mechanizmowi. Co dalej? Nie mogła przecież sprawdzać każdego kółka zębatego, każdego cylindra, każdej spirali. Co by dało powtórne obejrzenie każdej ze świetnie naoliwionych przekładni zębatach, których ruchy uzależnione były całkowicie od tajemnicy diabelskiego wynalazku?

„Łatwo obwiniać doskonałą niegdyś maszynę - pomyślała. - Czyżbym była tak niezdolna, że mimo wielkiego nakładu pracy i pomocy oddanego współpracownika nie potrafię osiągnąć celu postawionego sobie tak dawno? Tyle lat studiów na nic!”. Ogarnęło ją wielkie zniechęcenie. Zaczęła płakać nad otwartą szeroko pokrywą, a jej łzy spadały powoli między zębate kółka mózgu, strzegącego zazdrośnie swej tajemnicy.

Mijały minuty. Wytarła twarz, znów gotowa do bardziej naukowego potraktowania problemu. Właśnie przemyślała hipotezę dotyczącą zastoju mechanizmu, gdy dał się słyszeć cichutki stuk, dochodzący zapewne z czeluści aparatu. Po długiej ciszy odpowiedziało mu coś na kształt echa, które wywołało serię krystalicznych dźwięków, błyskawicznie układających się w złożony z harmonijnych ogniw łańcuch.

Tak więc trzeba było jedynie kropli, by wspaniała maszyna ruszyła.

Przez chwilę Essentielle siedziała zachwycona. Potem, nie mogąc powstrzymać radości, rzuciła się na śpiącego, obsypując go pocałunkami. „Za chwilę - wyszeptała. - Za chwilę, kochanie!”. Pobiegła wytrzeć ślady cudownych łez i wystroić się na cześć najpiękniejszego dnia.

Po czym wróciła i usiadła przy śpiącym, szczęśliwa, lecz i pełna niepokoju, przepelniona strachem i nadzieją. Czekwała, nie spuszczać zeń oczu.

Wkrótce spostrzegła, że po „twarzy muśniętej smutkiem” nie zostało śladu. W ciągu kilku minut zatarła się, rozmyła, znikła. Oblicze chorego wyrażało teraz tylko błogostan odpoczynku. Czasem we śnie przebiegał je skurcz, marszczyły się brwi, zaciskały usta, lecz zaraz wszystko wracało do porządku, zdradzając jedynie fizyczne zadowolenie.

Wreszcie śpiący chrząknął, przeciągnął się leniwie, rozcierając członki zdrętwiałe od narkozy i niewygodnej pozycji, po czym otworzył oczy. Czy zauważył siedzącą u wezglowia pobladłą i drżącą żonę? Jego błękitne spojrzenie omiotło gustowną suknię Essentielle, tak jak latarnia, napotyka

na nocnym morzu statek - bez zdziwienia, bez zainteresowania i bez emocji. Latarnia służy do oświetlania morza: kawałek po kawałku. Dokonawszy pełnego obrotu, zaczyna od nowa. Nieważne, czy sondowanie wody przyniesie coś, czy nie. Obojętnie, czy morze tchnie spokojem, czy zwiastuje dramat, latarnia wygląda tak samo. Nie słyszy bowiem jęków zagubionych statków ani radosnych pieśni wracających z połowu łodzi. Pozbawiona wrażliwości i psychologii, jest tylko maszyną.

Wydaje się, że widok siedzącej obok Essentielle, umalowanej, ubranej w balową suknię, triumfującej i przemienionej przez dziesięć lat nieustannej aktywności, nie zrobił na uczonym wielkiego wrażenia. Podobnie nie poruszył go fakt obudzenia się w domu, w którym za czasów funkcjonowania mechanicznego mózgu nie mieszkał. Wstał, ziewnął, jeszcze raz przeciągnął, włożył czerwony szlafrok, który Essentielle taktownie powiesiła obok, po czym zaczął czegoś szukać. Wpierw spokojnie, rozglądając się wokół i przesuwając przedmioty, potem z rosnącym niepokojem. Wyszedłszy z jadalni, pospiesznie przebiegł przyległe pomieszczenia, aż znalazł się w pokoju żony, gdzie na stole leżały sterty jej książek.

Łapczywie porwał pierwszą z brzegu, otworzył na początku, przysunął krzesło, usiadł i z głową w dłoniach zagłębił w lekturze. Balans mózgu wpadł we właściwy sobie rytm: rozległo się tik-tak, zgłodniałe, euforyczne i spokojne niczym koci pomruk.

Począwszy od tego dnia znów ogarnęła Essentielle nuda, a wraz z nią lenistwo i marzenia, czyli wszystko to, co stanowiło jej prawdziwą naturę. Wykrzesana w sennym umyśle widokiem twarzy muśniętej smutkiem iskierka, która przez tyle lat podtrzymywała niesłabnący entuzjazm, zgasła w chwili, gdy nad zadrukowaną kartką uczony powrócił do życia.

Co zrobić, by przyciągnąć spragnione lektury spojrzenie? Jak je zatrzymać i odkryć przed nim pogardzane przezeń bogactwa świata, na przykład spojrzenia bliźnich? Czy obok darów, jakie niosą: przyjaźni i czułości, nie stanowią tematów studiów równie ważnych jak „czynnikowa analiza w metodzie statystycznej”, „telecelowość” czy „mikrofinalizm”?

Essentielle nie zadawała sobie takich pytań, lecz w mig intuicyjnie pojęła, że nie zdoła specjalistycznego umysłu zainteresować niczym innym. Było to dlań przyczyną cierpienia.

Małpka podejmowała próby zjednania sobie uczonego z większym uporem, naiwnością i bezwstydem. Bez przerwy ciągnęła go za rękaw, włożyła na kolana, pocierała mordką o policzek, szukając przyjacielskiego spojrzenia, które w ciągu paru dni straciła po raz drugi. Uczony co prawda jej nie odganiał, ale niemal nie reagował na pieszczoty, zdumiony tak dziwnym i natrętnym zachowaniem. Choć nie wynagradzany, jej upór nie słabł. Wreszcie, domyślając się, że może wywołać zniecierpliwienie, i bojąc się wszystko stracić, zmieniła nagle taktykę.

Niekiedy ludzie dążą do celu z równym uporem, rzadko jednak wyczuwają moment, gdy - nie chcąc zniweczyć własnych szans - lepiej porzucić dotychczasową metodę walki. Rzadko godzą się z porażką, decydując skromnie i w milczeniu czekać na lepsze czasy. „Taki już jest mój przyjaciel - powiedziała sobie małpka. - Zbyt go kocham, bym się mogła bez niego obejść. Zadowolę się więc nim takim, jakim jest i tym, co mi daje”. Po czym z leżącej na stole sterty wzięła książkę, otworzyła, przysunęła krzesło, powtarzając podpatrzony u uczonego gest, oparła łeb na łapkach i - jak się przynajmniej wydawało - zaczęła czytać.

Essentielle poszła w jej ślady. Lecz kobieca mądrość nie dorównuje małpiej. Nie są z tej samej materii. Mądrości Essentielle nie starczyło na długo. Po wielu dniach siedzenia u boku obojętnego, milczącego męża, i udawania, że czyta, niemal postradała rozum.

Wkrótce tak zmizerniała, że małżonek pozwolił jej spacerować pół godziny dziennie wzdłuż kanału nieopodal domu. Był to luksus, na który uczony sam sobie nie pozwalał...

Nie odchodząc od brzegu kanału, potrafiła zapuszczać się w wodne otchłanie. Wpierw musiała zmylić uzbrojonych rycerzy, których gestykulujące, zielone, niebieskie i srebrzyste sylwetki rysowały się na miękkim atłasie wody. Bez przerwy krzyżowali klingi, broniąc wstępu niewtajemniczonym. Essentielle wykorzystała jednak płynącą barcę, w której czarny cień wojacy baliby się zapuścić, i igłą przebiła fale.

Wewnątrz panowała jasność większa niż za dnia. Krystalicznego powietrza nie mąciła najlżejsza mgiełka. Nawet ryby były ledwie widoczne, otoczone różową bądź szarawą poświatą, by szczęśliwy przechodzeń mógł - jednym spojrzeniem ogarnąć bezkres.

Essentielle spotkała trupa młodzieńca. Musiał być rybakiem, bo na głowie miał kapelusz od słońca i wciąż mocno trzymał wędkę, której haczyk tkwił w boku półprzeźroczystej zdobyczy. Jego łup był jednak na tyle prawdziwy, że ciągnął uczipionego wędki biedaka w morderczej pogoni. Essentielle przecięła żyłkę, uwalniając nieszczęśnika. Okazało się, że nie jest całkiem martwy, bo - ocknąwszy się z oszołomienia - podziękował wybawczynie czarującym uśmiechem.

Wspólnie kontynuowali więc spacer, zabawiając się łapaniem ryb, które w ich dłoniach zmieniały się niestety w matowe wstążki, szare lub różowe, znieruchomiałe po paru podskokach.

I tak Essentielle spędzała co dzień pół godziny z wodnym przyjacielem, zmyliwszy wpierw czujność rycerzy i skorzystawszy z pomocy barki. Nagle jednak jasne włosy młodzieńca, które wpierw ją urzekły, przestały się jej podobać. „Niebawem - rzekła - będziesz tak samo przezroczysty jak inni”. Później była kłótnia, a po niej znów samotność i czarne myśli...

Pewnego ranka, doszedłszy do końca codziennej trasy, Essentielle poczuła coś na kształt zawrotu głowy. Jeszcze krok, a otworzą się przed nią wrota ucieczki, wolności, przygody. Pomyślawszy o „twarzy muśniętej smutkiem”, obejrzała się na dom, lecz w zasłoniętym oknie nie było nikogo. Po kanale płynął kuter i już miała skinać w jego kierunku, gdy zmieniła zamiar. Nie chciała odejść, uciec tchórzliwie, nie znalazłszy wpierw sposobu, by człowiekowi i zwierzęciu oszczędzić spowodowanego jej zniknięciem cierpienia. Chwilę później wiedziała już, co zrobić. Odrobina środka nasennego w napoju podanym pracowitej parze położyła kres studiom. Małpka zdechła, uczony zasnął. Essentielle bez trudu otworzyła pokrywę i ze sztucznego mózgu wyjęła maleńką cząstkę, którą przed odejściem włożyła sobie do kieszeni.

Rozdział jedenasty

Postanowiła udać się do Paryża - bez specjalnego powodu, głównie po to, by pojechać gdziekolwiek, może znów pobyc w tym mieście, odbyć pielgrzymkę do wyburzonych domów, w których, jak się dalej łudziła, przeżyła na początku małżeństwa szczęśliwe chwile.

Wyjeżdżając z Anglii, wzięła z sobą jedynie małą walizeczkę.

Francuska stolica się zmieniła. Większość sklepów miała tak duże szyby, że widać było, co się dzieje w środku. Widać było wszystko, a nie słyszało się nic: jak w niemym filmie, gdzie przesyt przeplata się z niedosytem. Essentielle nie miała wątpliwości, że woli dawne ślepe sklepiki, których widoczny skrawek wnętrza pozwalał przechodniom puszczać wodze fantazji i do woli wyobrazać sobie resztę. Za oszklonymi drzwiami można się było niekiedy domyślać twarzy znudzonego subiekta, wyczekującego klienta. Gdy przechodząca osoba, na przykład elegancka dama, kładła dłoń na klamce, subiekt czym prędzej zmieniał widoczną przez moment minę prywatną na bardziej uroczystą, po czym odsuwał się, by wpuścić klientkę. Drzwi otwierały się i sekundę później zamykały, transakcje przeprowadzano w półmroku i atmosferze głębokiej tajemnicy. Przechodzień pozostawał nienasycony: miał ochotę zajrzeć przez brudną szybę, lecz zadowalał się wyobrażaniem historii z pewnością ciekawszych od rzeczywistości.

Czasem, pod pretekstem strzepnięcia na chodnik niezliczonych nitek przyczepionych do płóciennego fartucha, na progu stawała młoda szwaczka. Naprawdę jednak chciała na chwilę uciec od lampy, nasycić wzrok światłem dnia, odetchnąć świeżym powietrzem, nim wróci do ponurej pracowni, znów nachyli się nad igłą pod spojrzeniem chciwej i władczej szefowej.

Choć odczuwała wielką nostalgię za wyłożonymi ciemną boazerią, dyskretnymi kawiarniami, które tak dobrze pamiętała, Essentielle weszła kilkakrotnie do lokali o obitych plastikiem standardowych siedzeniach, dostosowanych do łędźwi współczesnego konsumenta. Mimo że siadała w kącie, wybierając stoliki najdalej od szklanych ścian, zawsze miała niemiłe wrażenie, że obserwują ją przechodnie, i czuła się w obowiązku pić lemoniadę czy wodę mineralną z należną celebrą. Toteż, coraz bardziej

zmęczona graniem komedii, wychodziła z kolejnej kawiarni ani wypoczęta, ani mniej spragniona.

Wreszcie, gdy dosyć zdenerwowana zamawiała czekoladę w jednym z tych nieprzyjaznych, zbyt oświetlonych miejsc, spostrzegła, że po drugiej stronie ulicy znajduje się uniwersytet. Zaraz - pewnie dlatego, że czuła się tak zagubiona - pomyślała o Cantonie, który po burzliwym pobycie w Anglii zamierzał wrócić do swego laboratorium. Postanowiła go odwiedzić. Czyż jej nie kochał i, widząc tak samotną i zawiedzioną, nie otoczy opieką i nie zaproponuje tymczasowego schronienia? Gdy stanęła przed nim, wydał się zdziwiony i jakby zmieszany. Potem, odzyskawszy zimną krew, brutalnie wyznał, iż poślubił młodą absolwentkę zegarmistrzostwa i mechaniki precyzyjnej. „Moja żona pracuje ze mną - dodał bez ogródek. - Nasza współpraca przyniosła rezultaty: skonstruowaliśmy właśnie sztuczne ucho. Sprzedaliśmy patent w Chinach, Austrii, Bawarii, Norwegii, Portugalii, Japonii, Chile i Ubangi”.

Chyba był szczęśliwy. Dawniej nijaka twarz promieniała teraz szczególnym blaskiem. Essentielle patrzyła na jego lśniące, starannie zaczesane włosy w kolorze konopi. Nie wyglądał już na studenta. Poczowała żal większy niż gdyby stwierdziła, że całkiem o niej zapomniał. Wyszła, nie mówiąc nic ani o rezultacie operacji na mechanicznym mózgu, ani - tym bardziej - o jej własnym, jakże rozczarującym sukcesie.

Potem długo błądziła po Paryżu, pogryzając czekoladę i jabłka kupowane u nielicznych wędrownych handlarzy, jacy się jeszcze ostali. Nie odważyła się pójść do hotelu. Teraz, gdy nie miała już powodu, by walczyć z nieśmiałym, niekonsekwentnym usposobieniem oraz rozleniwieniem umysłu, nie czyniła żadnego wysiłku. Spała wpierw na dworcu, potem na kracie tunelu metra i na nadbrzeżnym bulwarze pod osłoną mostu.

Pewnego ranka, czując się wyjątkowo smutna, postanowiła odwiedzić swoją dawną dzielnicę. Może to ją pocieszy? Tam jednak też się wszystko zmieniło. Pamięć miejsc wiodła ją ulicami, których nie rozpoznawała, chyba że dzięki rzadkim śladom, zachowanym z pewnością przypadkiem. Tu stary dom ze sklepikiem, tam zaniedbany skwerek czy samotne drzewo na skraju chodnika. Nie zastanawiając się głębiej, dawała się ponieść intuicji i, choć nie wpadała w rozpacz, coraz bardziej smutniała. Czasem akcja naszych snów toczy się w dobrze znanym miejscu, gdzie każda rzecz, w miarę zbliżania się do niej, jakimś szczegółem zbija z tropu, aż wreszcie przynosi

całkowite rozczarowanie. Pielgrzymując na jawie, Essentielle przeżywała podobny koszmar.

Weszła do pasmanterii, stanowiącej kiedyś część wyburzonego teraz budynku. Pod ścianami leżały sterty gruzu, a neon wydawał ten sam szczególny dźwięk, jaki towarzyszy stojącej na odludziu wiejskiej gospodzie. Po koczku i pasmanteryjnym zapachu rozpoznała sklepikarkę. Zaczęła się przed nią użalać, że dzielnica tak podupadła, lecz tamta była innego zdania. Zapewniała, że nic się nie zmieniło, interes zaś kwitł odkąd zaopatrywały się u niej panie z wyższych pięt. Jak gdyby nigdy nic mówiła o budynku, wznoszącym się niegdyś nad sklepikiem.

Essentielle szła jeszcze bardzo długo. Kilkakrotnie przeszła przed budynkiem stojącym na miejscu jej dawnego domu, który - jak pamiętamy - padł pod kilofem eksuczonego. O zmroku, wycieńczona, zaniechała poszukiwań, dalej była jednak przekonana, że to, czego szuka, gdzieś istnieje.

Skierowała się w stronę śródmieścia. Walizeczka tak jej ciążyła, że zostawiła ją na ławce. Minęła pora, gdy ciągi aut czekają nerwowo na sygnał, by przejechać przez plac, na który wpadają tak zbitą masą, że spieszący do domu przechodzeń waha się przed zejściem z chodnika. Teraz większość ludzi szykowała się po kolacji do snu. Spokojnymi ulicami, jakby przyciągane przez pustkę, nieliczne samochody pędziły na łeb na szyję. Zaczęło mżyć. Niepodziwiane przez nikogo eleganckie witryny sklepów meblarskich, łagodnie oświetlone elektrycznym światłem, przypominały wnętrza czekające na gościa, który nie przyszedł.

Szukając schronienia, Essentielle przechodziła właśnie przez jezdnię szerokiej alei, gdy z piskiem opon zatrzymało się przy niej auto, które wyjechało z przyległej ulicy, a którego przez ścianę deszczu nie spostrzegła. Choć nic się jej prawie nie stało, osunęła się na ziemię i zamknęła oczy. Wiedząc, że upada, nie starała się utrzymać na nogach, tak się raptem poczuła zmęczona i uspokojona niejasną myślą, że to, co się dzieje, może zmienić bieg wydarzeń. W jednej chwili zobaczyła się oczyma duszy, jak leży zabandażowana po czubek nosa, poddana troskliwym i fachowym gestom pielęgniarek. Przyjaciele, których zaraz sobie wyobraziła, objuczeni prezentami, przychodzili ją odwiedzić. Udawała, że jest bardzo chora i zza przymkniętych powiek obserwowała ich zatroskane miny. W takim właśnie była stanie ducha. Gdy - chwilę po tym, jak jej ciało przeszedł dreszcz od dotknięcia mokrej nawierzchni - podniosły ją mocne ramiona, poddała się im z równą rozkoszą, jak rozespane dziecko poddaje się rozbierającym je i

kładającym do łóżka dorosłym. Gdy ją nieśli, bardzo bolała ją głowa i od tępego bólu sztywniało prawe ramię.

Kiedy ją gdzieś położyli, w jej uszach zabrzmiał znajomy głos, lecz zasnęła, nim ogarnęła ją ciekawość, by sprawdzić, kto mówi.

Cóż za rozkosz czuła przed obudzeniem. Choć cierpiała dużo bardziej niż przy upadku, ciało jej przepełniała szczególna radość. Wydawało się jej, że znów jest małą dziewczynką. Leżąc w dziecięcym łóżeczku, którego wkłęśłości i wypukłości znała na pamięć, czuła zapach siedzącej obok matki oraz uspokajający aromat kuchni i pasty do podłóg, który zdawał się jej tak piękny, jak najlepsze perfumy. Słyszac oddech matki, powtarzała sobie w półśnie: „To tylko sen, wszystko to wydarzyło się dawno temu. Potem mieszkałam u ojca, który wydał mnie za wielkiego człowieka. Mam dyplom z mechaniki precyzyjnej, mieszkam w Anglii i szukam, szukam bezskutecznie...”.

Najciekawsze było to, że gdy całkiem się zbudziła, u wezglowia ujrzała twarz matki. Obok uśmiechała się inna twarz - męska i dzięki gładkim policzkom, migdałowym oczom oraz sumiastym wąsom sprawiająca od pierwszego wejrzenia niezmiernie sympatyczne wrażenie.

Ironia losu chciała, że rozdzielone od piętnastu lat osoby nagle się spotkały. Essentielle rzeczywiście bowiem leżała w swoim dziecięcym łóżeczku, a obok siedziała jej matka. Oto, co się zdarzyło:

Twarz męska należała do podmajstrzego rosyjskiego pochodzenia. To on siedział za kierownicą samochodu, który, szczęśliwym może trafem, potrafił Essentielle. Po bezskutecznych próbach znalezienia w wymarłej dzielnicy policjanta, stwierdziwszy z ulgą, że poszkodowana nie jest w złym stanie, przywiózł ją do swojej kochanki, mieszkającej zaledwie kilka domów od miejsca wypadku. Kochanka okazała się matką Essentielle.

Chora musiała spędzić piętnaście dni w łóżku. Był to szczęśliwy okres, trochę jak czasy sprzed rozejścia się rodziców. Matka była dobrą kobietą i opiekowała się nią, jak mogła najlepiej, choć bez prawdziwej miłości. Essentielle czuła w niej tę samą, może nieświadomą niechęć, która kazała jej w wieku dwunastu lat przenieść się do ojca. Za to Rosjanin robił wszystko, by ją rozerwać i rozweselić. Myśl, że o mały włos niechcący nie zabił córki tej, którą uważał za żonę, wzbudzała w owym mężczyźnie o gołębicim sercu

niezwykłe emocje. Zaadoptował duchowo Essentielle i nieoczekiwany ów związek wprawiał go w niesłabnącą euforię. Co wieczór po drodze z fabryki kupował podopiecznej prezencik, który jej zaraz wręczał. Po kolacji, gdy pani domu zmywała, opowiadał adaptowanej córce o swej rosyjskiej przeszłości:

- Od najwcześniejszego dzieciństwa - zagaił pewnego dnia - pasjonowałem się tańcem. Ojciec, choć był prostym robotnikiem i z trudem mógł sprostać potrzebom rodziny, uznał, że jego obowiązkiem jest wysłać mnie na lekcje. Nie będę się rozwodził nad wyrzeczeniami, jakie musieliśmy ponosić. Nie chcę cię nudzić opisywaniem wewnętrznych mąk chłopca, świadomego, że jest główną przyczyną nędzy, na jaką jego bliscy nie zasłużyli. Trzykrotnie, z rozpaczą w sercu, postanawiałem wyrzec się powołania i poszukać dobrze płatnego zajęcia. Mojemu wiekowi oraz kryzysowi na rynku pracy zawdzięczam, iż nie znalazłem tego, czego szukałem. Wbrew własnym postanowieniom skazany na zgłębianie ukochanej sztuki, poświęciłem się jej z największym oddaniem. Nim skończyłem siedemnaście lat, w uznaniu talentu zostałem dopuszczony do egzaminu do moskiewskiej Opery, który zdałem.

Pierwszego dnia po przestąpieniu progu owej świątyni poznałem nieco starszego ode mnie studenta, którego talent, tak jak mój, stanowił przedmiot ogólnego podziwu. Chłopiec był szczupły i wysoki: z jego szlachetną postawą konkurować mogły tylko piękne, wielkie i błękitne oczy, które z miejsca mnie urzekły. Od razu się zaprzyjaźniliśmy. Jego rodzina miała szyby naftowe na Kaukazie, skąd pochodziła. Grigorij mieszkał więc sam w Moskwie dzięki wypłacanemu przez ojca szczodremu stypendium. Był jednak tak skromny i miły, że chętnie przyjmował zaproszenia do nas na kolacje. Takt nakazywał mu nie przynosić - jak w dobrej wierze uczyniliby inni - wina i smakołyków, mających wzbogacić nasz skromny stół. Czasem tylko pozwalał sobie ofiarować mamie kupiony od wędrownego sprzedawcy zwykły bukietek różyczek.

Był już niemal domownikiem, gdy jego spojrzenia oraz większa niż zwykle, nieco melancholijna powściągliwość zdradziły mi, że podoba mu się Olga, moja szesnastoletnia siostra, dziewczyna niezwyklej urody. Gdy to ze śmiechem zauważyłem, zaczął się bronić. Przyznał, co prawda, że nie jest nieczuły na jej słodycz i wdzięk, lecz o miłości nie ma mowy. „Rodzice - rzekł - uznaliby taki związek za niewłaściwy i choć nie podzielam ich zdania, nie

chcę im w niczym uchybić. Poza tym przysięgłem sobie nie wpaść w sidła miłości, nim nie zostanę słynnym tancerzem”.

Wszystko wskazywało jednak na to, że jego uczucie było już zbyt poważne, by mógł je zdławić. Stał się roztargniony, zamyślony, porywczy, kazał się długo prosić przed przyjściem do nas, co robił zresztą coraz rzadziej. Całkowicie poświęcił się pracy, w której pokładał wielkie ambicje. Dopóki chodziło tylko o niego, miał dość siły woli, by wyrzec się nierozsądnego szczęścia. Okazało się jednak, że młodziutka Olga rozpoznała wkrótce w fakcie, że tak źle znosi to, co z wymuszonym uśmiechem nazywała „zdradą Grigorija”, dowód dużego przywiązania. Cierpiała i była na tyle dyskretna, że starała się to ukryć. Lecz mój przyjaciel przejrzał szybko jej sekret, tym bardziej, że sam przeżywał podobne katusze. W mgnieniu oka wypaliła się cała energia, jaką poświęcał tłumieniu w sobie miłości. Poddał się i pewnego wieczoru po spektaklu wyznał mi, iż nie potrafi walczyć dłużej z uczuciem, które spotkało się z wzajemnością.

Nieszczęście chciało, że gdy powiedzieli ojcu o ich związku i dla formy poprosili o pozwolenie widywania się, ten skarcił córkę i, powodowany dumą, zabronił im spotkań. Młodzi, gotowi teraz na wszystko, by tylko być razem, nie posłuchali. Mama stała się ich współniczką, aranżując spotkania poza domem, głównie u znajomej, która świetnie rozumiała sytuację.

Czas płynął względnie spokojnie. Stałem się powiernikiem narzeczonych i co dzień umacniałem w przekonaniu, że są dla siebie stworzeni. Grigorij jawił mi się jako najczulszy, najbardziej oddany i najdelikatniejszy ze znanych mi mężczyzn. Cieszyłem się na myśl o przyszłości siostry, wprawdzie musiałem jednak przekonać liczącego się z moim zdaniem ojca, by zechciał im zaufać. Przeprowadziłem właśnie pierwszą rozmowę i gratulowałem sobie sukcesu, gdy dotknęła nas wielka tragedia. W odstępie kilku miesięcy umarli rodzice Grigorija. Na Kaukazie została siostra, której - jak sądził - powinien był ruszyć z pomocą. Opuścił nas, przygnębiony i pewny, że będzie musiał porzucić swój zawód i wielkie nadzieje. Pamiętam, jak zapłakany tulił Olgę, przysięgając - z pewnością, by ją uspokoić - iż niebawem wróci.

Rzeczywiście wrócił, lecz na krótko, a jego wizyta miała straszne konsekwencje.

Potem dowiedzieliśmy się, że został bankrutem i próbował szczęścia za granicą. Napisał do Olgi długi i namiętny list, prosząc o przebaczenie. Wyznał, że wyjechał w sekrecie, chcąc oszczędzić jej i sobie bólu rozstania.

Przyrzekał, że przyśle pieniądze, by przyjechała doń do Niemiec. Nigdy więcej się jednak nie odezwał.

Tymczasem mama spostrzegła, że Olga spodziewa się dziecka. Wyruszyłem więc na poszukiwanie Grigorija, lecz na darmo. Nie natrafiliśmy na żaden jego ślad i do dziś nie wiemy, co się z nim stało. Jeśli o mnie chodzi, jestem pewien, że nigdy nie zdradziłby Olgi. Boję się raczej, że przydarzyło się mu jakieś nieszczęście, gdyż pracował w kopalni.

Dziecko przyszło na świat. Był to chłopczyk. Wyparłszy się córki, nasz ojciec umarł z żalu. Ja musiałem porzucić zawód tancerza i znaleźć lepiej płatne zajęcie, by utrzymać siostrę z synem. Biedna Olga była bardzo dzielna i ani przez moment nie wątpiła, że kochanek dotrzyma słowa. Czekwała. By zachować urodę - bardziej obawiała się bowiem o swe wdzięki niż o serce - wymyśliła fortel, którego tajemnicy nie mogę zdradzić.

Chłopiec rósł. Był zdumiewająco podobny do ojca. Jako nastolatek oświadczył, że chce uczyć się tańca. By mu to umożliwić, przyjechałem do Francji, gdzie zarobki są ponoć wyższe. Dzięki mnie - mówię to z dumą - Fiodor Grigorjewicz Koszkin jest dziś główną gwiazdą moskiewskiej Opery. Odbywa właśnie tournée po Anglii, w przyszłym miesiącu zaszczyci Francję. Zobaczysz go, moja droga, pójdziemy go oklaskiwać i uścisnąć mu dłoń.

Rosyjski robotnik zamilkł. Zbyt był wzruszony, by cokolwiek dodać do opowieści. Nim wyszedł, poprawił Essentielle kołdrę i zgasił światło.

Chora słuchała z oczyma błyszczącymi z ciekawości. Łatwo się domyśleć, że niektóre szczegóły owej historii szczególnie przyciągnęły jej uwagę, łącząc się w ciąg fascynujących skojarzeń. „Może - pomyślała - istnieje związek między Grigorijem a bratem gruzińskiej kwiaciarki, o której opowiedziała nam nędzarka znad Tamizy. Jeśli tak, Grigorij jest dziś bogaty dzięki odziedziczeniu należącego do londynki majątku, podczas gdy jego ukochana Olga starzeje się gdzieś w samotności, strawiwszy tyle lat na czekaniu, biedując, by ich syn, o którego istnieniu ojciec nie ma pojęcia, mógł zrobić olśniewającą karierę. Gdzie jest Grigorij, co się z nim stało, co stanęło na przeszkodzie, by odnalazł i połączył życie z tą, która była niegdyś jego narzeczoną?”

Nagle Essentielle przypomniała sobie główny element łamigłówki, którego brak nie pozwalał jej wyciągnąć z historii wniosku. „Czyżby Grigorij -

wykrzyknęła w duchu - jeśli jeszcze żyje, był właścicielem mechanicznego mózgu, zbudowanego tak samo jak ten, który aż nazbyt długo mnie pasjonował?”.

Na wspomnienie okresu, który chciała wymazać z pamięci i którym zasłużyła sobie na niesprawiający jej prawdziwej przyjemności odpoczynek, ogarnęła ją gorycz. Usiłowała zasnąć - na próżno.

Rozdział dwunasty

Ledwie Essentielle wróciła do zdrowia, kochanek matki nagle zachorował i wkrótce potem zmarł. Essentielle była zdziwiona, jak bardzo ją ta śmierć przejęła. Przez miesiąc Rosjanin obdarzał ją ciepłem i prostoduszną przyjaźnią, przywracając radość życia. Postanowiła coś dlań zrobić.

Matka za to nie była specjalnie zmartwiona. Miejsce rosyjskiego robotnika zaraz zajął osobnik o kamiennym obliczu, kanciastym podbródku i włosach na jeża, podający się za mistrza badmintona. Essentielle go nie znosiła. Tak jak ujęła ją naturalna dobroć ekstancerza, tak odrzucała arogancja, próżność i oziębłość jego następcy.

Bez słowa opuściła dom rodzinny, wiedząc, że nie ma już tam nic do roboty i że jej zniknięcie nie wywoła niczyjego żalu.

Nagle otrząsnęła się z dręczącej ją od jakiegoś czasu apatii. Poczowała chęć działania, tak jak w epoce, gdy w ściśle określonym celu podjęła studia, a jej umysł i ciało nie cofały się przed żadnym, choćby najtrudniejszym, zadaniem. Przepęłniała ją chęć poświęcenia się czemuś. Z braku celu go sobie wymyśliła. Czyż nie postanowiła uczcić pamięci przybranego ojca, rosyjskiego majstra? Umierając tak nagle, nie mógł biedaczek usłyszeć z ust swej podopiecznej, jakie wnioski wyciągnęła z porównania historii nieszczęsnej Francuzki z Londynu z jego opowieścią. Czytelnik zna obie, toteż zbyteczne byłoby ich powtarzanie. Dodajmy tylko, że żona eksuczonego zdecydowała odnaleźć Fiodora Koszkina, siostrzeńca swego przyjaciela, i opowiedzieć mu to, co sądziła, że wie o zniknięciu jego ojca.

„Potem - postanowiła - wróćę do Anglii poświęcić się szczęściu męża”.

Zasięgnęła informacji. Dowiedziała się, że słynny tancerz będzie jeszcze przez kilka dni występował na paryskiej scenie. Wystarczyło zresztą przeczytać porozklejane na słupach ogłoszeniowych gigantyczne plakaty. Widniało na nich napisane drukowanymi literami nazwisko Koszkina oraz wielkie, kolorowane zdjęcie, ukazujące go w całej postaci. Patrząc na nie, Essentielle doznała dziwnego wrażenia. Była pewna, że gdzieś już tego młodzieńca widziała. „Z pewnością - pomyślała - to, co nawet nieświadomie

rejestruje nasz wzrok, zapisuje się w mózgu, by kiedyś wypłynąć. Musiałam, może i nie raz, przechodzić koło tej fotografii... A zresztą słyszałam tak dokładny opis kochanka Olgi, że jeśli syn odziedziczył rysy ojca, mogę mieć wrażenie, że go wcześniej spotkałam”.

Nazajutrz poznała Fiodora Grigorjewicza Koszkiną i przez całą długą rozmowę nie opuszczało jej dziwne uczucie, którego nie mogła sobie wytłumaczyć. W uszach rozbrzmiewały jej słowa Rosjanina: „...był szczupły i wysoki: z jego szlachetną postawą konkurować mogły tylko piękne, wielkie i błękitne oczy, które z miejsca mnie urzekły”. Rozwodzenie się nad takimi szczegółami wydawało się jej jednak niedorzeczne.

Pomiędzy kolejnymi sukcesami młody tancerz zabrał Essentielle samolotem do Moskwy, gdzie osiadła na starość jego matka, narzeczona Olga, z pewnością szczęśliwa ze sławy i bogactwa syna.

Była to kobieta bez wieku. W każdym razie kontrast między ciałem a twarzą powodował, że nie sposób było zgadnąć, ile ma lat. Na pomarszczonym obliczu, podobnym do maski odlanej z rysów odrażającej staruchy, trudno było dopatrzeć się śladów dawnej urody, o której słyszała Essentielle. Za to sylwetka - choć nieco przygarbiona pod ciężarem życia, z którego zbyt wcześnie uleciało szczęście - sprawiała tak młode wrażenie, tak była szczupła i zgrabna, że zdumiewała dysonansem ze zwiędłą twarzą.

Po wysłuchaniu opowieści gościa, która niezwykle ją wzruszyła i napełniła nadzieją, Olga nie spoczęła, nim wymogła na Fiodorze Grigorjewiczu Koszkinie, iż wyruszy nazajutrz szukać mężczyzny, którego wciąż kochała.

- Czy nie znalazłbyś sobie jakiegoś zajęcia - zwróciła się później do syna - byśmy spędziły z panią wieczór tylko we dwie i lepiej się poznały?

Delikatna budowa ciała w połączeniu ze zniszczoną twarzą powodowały, iż tembr jej głosu wydawał się jeszcze bardziej dziecinny i czarujący.

Fiodor wyszedł i zostały same. Zmierzchało, nie zapalono jeszcze lamp i w salonie panował miły, sprzyjający zwierzeniom półmrok. Zapadła długa cisza, jakby Olga się nagle zmieszała. Wreszcie spuściła smutne oczy i odezwała się w te słowa:

- Zna pani część mej historii - rzekła z czarującym akcentem - nie wie pani jednak, co się stało po zniknięciu mego drogiego narzeczonego. Nie będę męczyć pani długą opowieścią, lecz zapał, z jakim pomaga pani naszej rodzinie, każe mi wyjawić tajemnicę, której nieszczęsny brat zdradzić nie chciał. Nawet mój syn nic o niej nie wie. Licząc na pani niestrudzoną uczynność, mam nadzieję, że jutro dowie się o niej właśnie od pani, czas bowiem najwyższy, by poznał mój sekret.

Ten, kto mówił pani o nieszczęściach, które spotkały mnie w młodości, nie omieszkał z pewnością wspomnieć o urodzie, jaką natura szcudrze mnie obdarzyła. Dzięki niej uwiodłam mężczyznę, którego kochałam, za co jestem moim powabom dozgonnie wdzięczna. Zapewniam panią jednak, że pociągnęły one za sobą i inne konsekwencje. Gdy utraciłam Grigorija, mimo samotności, w jaką się dobrowolnie zasyłam, do mych drzwi stukało wielu konkurentów.

Byłam biedna i miałam syna. Pod wpływem nalegań matki zgodziłam się oddać rękę młodzieńcowi, który, zgodnie z tym, co o nim wiedzieliśmy, zasługiwał na mnie bardziej niż reszta. Postawiłam jednak dwa warunki. Po pierwsze, miał poświęcić dwa lata na szukanie śladów Grigorija. Dopiero jeśli go nie znalazł, miałam zostać jego żoną. Po drugie, nasze małżeńskie stosunki ograniczyć się miały do prowadzenia przeze mnie domu. Jeśli zjednałby mnie lojalnością, może kiedyś, w przyszłości, uczyniłabym go szczęśliwym człowiekiem. Młodzieniec gotów był na wszystko, byle tylko mnie poślubić. Gdy wrócił po dwóch latach, doprowadził mnie do takiej rozpaczki wieścią o śmierci mego wybrańca, który zginął jakoby w wypadku w kopalni, że nie chciałam więcej go widzieć.

Matka oskarżyła mnie o nieuczciwość. Chcąc jednak zapewnić dobrobyt mnie i dziecku, wymogła, bym przyjęła innego konkurenta, którego, jak podejrzewam, zachęciła, nim jeszcze zgodziłam się z nim zobaczyć. Oczywiście wybrała go ze względu na majątek.

Muszę wyznać, że jego uroda, wdzięk i skromność ujęły mnie już przy pierwszym spotkaniu. Postawiłam mu co prawda warunki łżejsze niż poprzednikowi, poinformowałam jednak, że nie może liczyć z mojej strony na nic poza szczerą przyjaźnią i wdzięcznością.

Ustaliliśmy datę ślubu. Wykorzystując oddanie całkowicie uzależnionego ode mnie młodzieńca, wybrałam dzień dość odległy. Powodowała mną uczciwość, gdyż nadal szaleńczo kochałam tego, na

którego nigdy nie przestałam czekać. Również instynkt kazał mi wyznaczyć daleki termin, bym miała więcej czasu na poznanie przyszłego małżonka.

- Dalszy ciąg tej historii - ciągnęła Olga - może panią rozczarować i sprawić, że potępi pani moje zachowanie. Proszę o wyrozumiałość, choć może na nią nie zasłużyłam.

Essentielle w milczeniu skinęła głową, Olga wydała westchnienie, po czym podjęła opowieść:

- Z początku z przesadną oziębłością reagowałam na względy, jakie okazywał mi ów młodzian, i obiecywałam sobie zachowywać się tak, dopóki dobrze go nie poznam. Pewnego dnia, gdy potraktowałam go szczególnie surowo, zobaczyłam, że ma łzy w oczach. Gdyby uczynił mi najmniejszą wymówkę, dłużej byłabym nieugięta, lecz jego cierpliwość i szlachetność, których nie mogłam nie zauważać, obudziły we mnie czułość oraz współczucie. Postąpiłam na tyle nieostrożnie, że dałam to po sobie poznać. Zyskał przez to nieco pewności siebie. Kilkakroć złapałam się na uśmiechaniu. Był zachwycony.

I tak rosły jego szanse, podczas gdy ja przestałam pogardzać własnym zachowaniem. Owego ranka, gdy obudziłam się w jego objęciach, zareagowałam tak gwałtownie, że, sądząc, iż oszalałam, przerażony i zdruzgotany, pożegnał się na zawsze.

Olga zamilkła. Siedziały w tak całkowitej ciemności, że w ogóle się nie widziały. Z pewnością narzeczona Grigorija specjalnie wybrała taką porę, by ukryć wzburzenie, jakie wstyd i skrucha malowały na jej zniszczonej twarzy.

- Postanowiłam - podjęła surowym nagle tonem - ukarać przejmującą mnie zgrozą własną rozwiązłość. Czyż to nie moja uroda była przyczyną zdrady, której wybaczyć sobie nie mogłam? Widząc w niej główną winowajczynię, pomyślałam, że najlepszym sposobem, by ukarać kokietkę we mnie i raz na zawsze zapobiec, by kiedykolwiek znów podniosła głowę, jest urodę tę unicestwić. Wzięłam ostry nóż i już miałam pokroić sobie twarz, gdy powstrzymała mnie nagła myśl, iż znów targam się na coś, co należy do Grigorija, który - kto wie - może żyje i niebawem do mnie wróci. Przeraziła mnie zarówno własna lekkomyślność, jak i fakt, że nie mogę uciec się do sposobu, który uważałam za najpewniejszy.

Olga znów zamilkła. W ciszy rozległ się stłumiony szloch. Potem musiała się poruszyć czy uczynić gest dłonią, Essentielle usłyszała bowiem

jakby szelest materiału. W korytarzu wiodącym do pokoju, gdzie siedziały, zabłysło słabe światelko. Po chwili wszedł służący, niosąc zapalony świecznik. Oślepiąca, Essentielle zamknęła na moment oczy. Kiedy je otworzyła, służący wyszedł, zostawiwszy świecznik. Essentielle ujrzała twarz gospodyni. Było to oblicze najpiękniejsze na świecie. Essentielle zrozumiała, dlaczego rosyjski robotnik nie rozwodził się nad wdziękami siostry. Choćby chciał, nie znalazłby słów na ich opisanie, język ludzki bowiem słów takich jeszcze nie wymyślił.

Olga trzymała w ręku woskową maskę, z której uczyniła przedmiot swej kary oraz zabezpieczenie, strzegące wierności Grigorijowi.

Rozdział trzynasty

Choć przyrzekła sobie jak najszybciej wrócić do Anglii, Essentielle nie mogła odmówić pomocy Fiodorowi Grigorjewiczowi Koszkinowi, który postanowił, że odnajdzie narzeczonego Olgi bez względu na to, czy ten żyje, czy nie.

Chodziło o znalezienie śladu górnika pochodzenia rosyjskiego, który w następstwie poważnego wypadku mieszkał od wielu lat w nieznanym miejscu, wyposażony w sztuczny mózg.

Wpierw, dzięki elementom, jakie żona uczonego wyłowiała z opowieści majstra oraz londyńskiej staruchy, spisali bez trudu zwięzły dokument, opisujący życie Grigorija. Pierwszy etap poszukiwań polegać miał na sprawdzeniu danych na miejscu.

Nie rozwodząc się nad nużącymi wożami zagranicznymi, przejdźmy od razu do części francuskiej, gdzie na samym początku pojawiła się poważna trudność.

Nic przewodnia śledztwa raptownie urwała się w momencie, gdy stwierdzili, że uciekinier rzeczywiście odwiedził notariusza, by sfinalizować przejęcie majątku. Wyszędłszy z biura, gdzie nikt nie potrafił niczego im powiedzieć o dalszych losach spadkobiercy o sztucznym umyśle, który - jak się zdawało - nowe życie zaczął od zmiany nazwiska, Fiodor i jego towarzyszka zdali sobie sprawę, że wyczerpali wszystkie tropy. Gdzie pójść teraz? Z kim rozmawiać? Kogo pytać?

Przez kilka dni nie robili nic, po czym - z braku innych pomysłów, a także nie chcąc popaść w depresję - postanowili spróbować starej metody, polegającej na snuciu domysłów. Co może zrobić ktoś, kto z dnia na dzień stał się bogaty? Kupić samolot, luksusowe auto, zamek na wsi? Sfinansować budowy szkół, szpitali, pomników na cześć poległych? Zainteresować się sztuką, przemysłem, rolnictwem? Pole możliwości jest olbrzymie, ledwie rzuciliśmy na nie okiem. W każdym razie zbici z tropu detektywi zdecydowali podzielić się pracą.

Essentielle miała zasięgnąć języka wśród przemysłowców. Zostawmy ją temu zadaniu.

Fiodor był przekonany, że innych interesuje to samo, co jego. Wiedząc o zamiłowaniach ojca, uważał, że logika nakazuje zacząć poszukiwania od kręgów związanych z tańcem. Po wypytaniu przedstawicieli wielu artystycznych profesji poddał się jednak, a metodyczny umysł kazał mu skierować wysiłki na dziedzinę nauki.

Bawimy się w chowanego. Czyż czytelnik, domyślający się od dawna, jak się skończy ta długa historia, mógłby nie podpowiedzieć detektywowi Fiodorowi Grigorjewiczowi Koszkinowi: „Uwaga! Ciepło!”? A potem, po wielu mozolnych dniach, gdy Fiodor uzyskał adres pewnej matrymonialnej agencji, w której Grigorij podał swe prawdziwe nazwisko, czyż tenże czytelnik - zakładając, że chce pomóc - nie zakrzyknąłby: „Gorąco! Parzy!”?

I tak w dniu, gdy Essentielle z Fiodorem wymieniali się zdobytymi informacjami, ten ostatni powiódł ją triumfalnie przed dom - a raczej wzniesiony na jego miejscu wieżowiec - który dwanaście lat wcześniej zajmował Grigorij z młodziutką żoną.

Essentielle rozpoznała wreszcie miejsce, którego podczas smutnej pielgrzymki po przyjeździe z Anglii daremnie szukała. Wszystko tu oczywiście zniszczono, czy raczej zmieniono, odnowiono, unowocześniono i upiękuszono w stylu, którego nie znosiła. Nie miała jednak wątpliwości: była to jej dawna dzielnica, to samo miejsce, ten sam chodnik, gdzie przeszła jej przez głowę myśl o ucieczce, która - choć nigdy nie wcielona w życie - sprawiła, iż rozkwitł pączek jej burzliwego przeznaczenia. Była teraz bystrzejsza niż wówczas, kierowała się zdrowym rozsądkiem, a łatwo zapadającą w stan uśpienia inteligencję rozbudziły ostatnie działania. Toteż pojęła od razu, że w osobliwy sposób zamyka się tu koło jej przygód.

Spojrzała czule na Koszkiną, a że był przystojny i miał piękne oczy uczonego, wybuchła płaczem. Młodzian zrozumiał oczywiście wzruszenie wrażliwej przyjaciółki, które sam podzielał w tej szczególnej chwili, gdy ich poszukiwania miały przynieść wreszcie owoce.

Essentielle postanowiła milczeć i pozwolić synowi Grigorija samemu dotrzeć do celu. Z rosnącym przejęciem towarzyszyła mu wszędzie, oglądając ruiny kolejnych domów, w których z chorym mężem mieszkali. Cóż by dało wyjawienie, kim jest? Czyż mogła równać się z wciąż piękną Olgą, którą jej dawny narzeczony z pewnością nadal kochał? Albo ze wspaniałym, uzdolnionym synem, który stanie się przedmiotem dumy badacza?

Miała sobie za złe, że nie stara się zniknąć, pozwalając rodzinie bez niej cieszyć się szczęściem. Chciała być jednak przy końcowej scenie, coś ją do tego pchało i postanowiła zaufać instynktowi. By przyspieszyć bieg wydarzeń, dyskretnie naprowadziła Fiodora na właściwy trop, kierując go do Lancashire.

Tego ranka słońce jasno świeciło nad brytyjską wyspą. Wigan otulone było lekką, różową mgiełką. Dom, niczym apetyczne ciastko, stał w zapuszczonym ogrodzie, w którego ciepłe śniły wylegujące się zwierzęta. Zdawał się być kryjówką najpiękniejszej ze śpiących królowien.

Sprowadzona przez syna z Moskwy Olga omdlewała w jego ramionach. Bładość dodawała jej jeszcze delikatnej urody. Ze ściśniętym sercem i gotowa na wszelkie wyrzeczenia, Essentielle podążała z nimi ku nieuchronnemu rozwiązaniu.

Choć nie miała ochoty na podstępny, musiała odciągnąć uwagę towarzyszy, by nie zdziwili się faktem, że ma klucz. Nie było to zresztą trudne, bo przejęci oczekiwaniem całkiem potracili głowy. Skorzystała z tego, by pobiec pierwsza do uczonego i włożyć do sztucznego mózgu brakującą część. Nie czekając aż się zbudzi, zbiegła do jadalni, gdzie Olga zbierała siły, nim stanie przed ukochanym Grigorijem.

Razem weszli na wiodące do sypialni schody. Wyglądali, jakby szli złożyć hołd zmarłemu, tak zmienione mieli twarze i oczy rozszerzone z napięcia.

Uczony, już ubrany w czerwony szlafrok, przeglądał grube tomisko, stojąc przy biurku niesprzątanym od tak dawna, że przewracanie stron wzbijało w powietrze kłęby kurzu. Chyba nie usłyszał, że ktoś wszedł do pokoju. Łkania, których Olga z Fiodorem nie potrafili pohamować, nie przyciągały jego uwagi. Czytał: pożerając oczyma linijki druku, zasiadł przy biurku i, jak miał w zwyczaju, ukrył głowę w dłoniach.

Przycupnąwszy z boku, Essentielle czekała. Jej zapłakani towarzysze zachęcali się wzajemnie, by podejść do naukowca. Wreszcie Olga dotknęła jego ramienia i uczony się odwrócił. Nagła bliskość czyjejś twarzy musiała go zirytować, bo mruknął coś nieprzyjemnego. Mimo wszystko zaciekawiony, ze strapioną miną rozejrzał się po pokoju.

Był w nim młodzieniec o bardzo szlachetnym i bardzo smutnym wyglądzie, który zdawał się badać go wzrokiem. Była też twarz, która chwilę wcześniej wyrosła obok, całkiem zresztą ładna, i stanowiąca teraz zwieńczenie kobiecego ciała, jakie z pewnością przynosiło szczęście kochającemu je mężczyznę. Młodzieniec wypchnął przed siebie zalaną łzami towarzyszkę, która zaczęła coś długo opowiadać, tak długo, że badacza rozboleła głowa. Opowiadała historię, w której bez przerwy powracali rozdzieleni narzeczem i odnalezieni ojcowie... Do diabła! Nużyły go jęki tych ludzi! Odciągały od pracy!... Odważyli się nawet chwytać go za ręce, potrząsać nimi, tulić się don z niedopuszczalną zażyłością, nazywać ojcem i mężem, obsypywać pocałunkami!

Dlaczego jednak młodzian jest tak smutny? Czemu, ilekroć wzrok uczonego spotyka jego głębokie spojrzenie, całe ciało przeszywa mu dreszcz, którego nazwać nie potrafi? Chciałby coś dlań zrobić... tylko co? Może pogłaskać po głowie... nie bardzo wie jak. Pokazać mu książki, zachęcić do lektury?... Nie, wpierw sam musi się tyle nauczyć. Tymczasem zaczyna się źle czuć, też zbiera mu się na płacz, lecz się powstrzymuje. Przede wszystkim trzeba pozbyć się natrętów.

Jego twarz nabrała sinawego odcienia, typowego dla ludzi nerwowych, próbujących się opanować. W obronie przed najeźdźcami macha długimi rękoma, którym rękawy czerwonego szlafroka nadają daremnego majestatu. Łapczywie rozgląda się za czymś, co wyzwoliłoby go od koszmaru, przywróciło porządek.

Nagle spostrzega Essentielle, skuloną w ciemnym kącie i czekającą pokornie, aż rozstrzygnie się jej los. Uczony wzdryga się, mruży błękitne oczy, w których tańczą miedziane błyski. Usiłuje sobie przypomnieć. Pod sklepieniem hełmu nastaje wielkie ożywienie, wzruszone myśli krążą w kółko, po raz pierwszy przemierzając metalowe ścieżki. Zderzają się, zaczepiają o siebie, płaczą, i konfuzję tę widać w mglistym spojrzeniu badacza. Oswojenie ich i pobudzenie wspomnień zajmie więcej czasu niż rozwiązanie zadania z fizyki, lecz oto pamięć wraca, wszystko jaśnieje i się uspokaja, Essentielle zostaje rozpoznana.

Z nową siłą właściciel miedzianego hełmu zdecydowanym ruchem odsuwa obcych i rusza w stronę żony, drżącej istotki, „jedynej osoby, o której dobrze wie, że doń należy. Na pewno go ochroni, sprawi, że znów zapanuje błogosławiona cisza, która pozwoli mu zagłębić się w pracy, na długo, bardzo długo, aż do końca ich dni”.

I gdy tak sobie myśli, chwiejnym krokiem sunąc ku Essentielle z wyciągniętymi ramionami, niecierpliwymi, by ją objąć, z wolna na twarz wpływa mu po raz pierwszy piękny uśmiech.